

ANTOLOGIA POLSKIEGO ROMANSU

Irena Zarzycka

# DZIKUSKA

## HISTORIA MIŁOŚCI



Wydawnictwo

**IRENA ZARZYCKA**

**DZIKUSKA**  
**HISTORIA MIŁOŚCI**

## SŁOWO WSTĘPNE

Propozycja wydania „Dzikuski” w roku 1988, w przeszło 60 lat po jej ukazaniu się na rynku wydawniczym (1927 rok), jest dla autorki czystym surrealizmem. Czuję się jak prababka, mająca grać rolę własnej prawnuczki, a tu i kostium za ciasny, i rola trudna do udźwignięcia.

„Dzikuska” była pierwszym kostiumikiem literackim Ireny Zarzyckiej. Autorka - młoda, oczarowana życiem, miłością, urodą świata, wędrowała wraz z mężem, topografem Wojskowego Instytutu Geograficznego, po całej Polsce z miejsca na miejsce, z kwatery na kwaterę. Witały ją wciąż nowe wrażenia, nowi ludzie, nowe serdeczne kontakty, które wtedy nawiązywała szybko i łatwo, a do dziś wiele z nich przechowuje w pamięci. Słuchała zwierzeń wesołych i smutnych, historii, opowiadań i plotek. Jak w kalejdoskopie przesuwały się imiona, twarze, wypadki słyszane i zaobserwowane, a ponieważ nic nie ginie w naturze, więc te wszystkie wrażenia i doznania żyły, kipiały... no i wybuchły... Ukazała się „Dzikuska”, a zaraz w następstwie napłynęła lawina listów i propozycji.

Gdy po wojnie przypadkowo wpadła mi ta książka do ręki, byłam trochę zdziwiona, trochę ubawiona... Przecież uważałam ją za grzech młodości. I to był grzech... A pokuta...? Najsroższą zadała mi wojna, zabierając dom, męża i 15 - letniego syna, więźnia „Majdanka”. Miałam jednak dość siły, by wychować maleńką wówczas córkę, dla której chciałam żyć. Okazało się, że zachowałam ów ogromny, niewyczerpany ładunek miłości, pozwalający przetrwać

wiele lat i nie udusić się łzami żalu i goryczy.

Nie mogę się do „Dzikuski” nie przyznać - ale naprawdę wtedy pisała ją inna Irena Zarzycka, co chyba widać w powieści, beztroskiej, pełnej optymizmu i radości życia.

Trudno dziś uwierzyć, jak wielka była popularność tej książki, nie posiadającej przecież godności wydarzenia literackiego, będącej jednak pewnego rodzaju zjawiskiem socjologicznym, jako cząstka folkloru tamtych lat. Podobne kariery i popularność zdobywają dziś niektóre zespoły młodzieżowe, z tą różnicą, że mają one fanów wśród młodej widowni. „Dzikuskę” czytali młodzi i starzy. Listy pisali i jedni, i drudzy.

Ta przedwojenna Irena Zarzycka tyle miała dowodów sympatii i uwielbienia, tak bardzo ją rozpieszczano dziesiątkami listów, że brnęła sobie niefrasobliwie w pisarstwo aż do roku 1939. Wówczas była zbyt zajęta urokami życia, by przejmować się krytyką, zwłaszcza ostrą, rzeczową. Woląca serdeczne i życzliwe uwagi Wacława Sieroszewskiego, którego list przechowuje do dziś, czy też Melchiora Wańkowicza - jej pierwszego wydawcy. Ich rady i wskazówki, namawiające ją do głębszych refleksji i obserwacji życia, postanowiła realizować „potem”. A potem to była wojna i skończyła się „Irusia” Zarzycka.

Wiele osób sądziło i zapewne sądzi nadal, że nie ma jej wśród żywych, zwłaszcza że uwielbiana przez nią Zofia Kossak - Szczucka uśmierciła ją w obozie w jednym ze swoich wspomnień.

Życie dostarczało wciąż, jak niegdyś, gotowych scenariuszy,

tylko sięgnąć ręką po pierwszy z brzegu, ale nikt z najbliższych i najserdeczniejszych przyjaciół nie zdołał jej namówić do pisania. Mimo wszystko bowiem pozostała wierna dawnym przyjaźniom, dawnym sympatykom i swojej złotej młodości.

(Irena Zarzycka) 5 maja 1988 roku

## ROZDZIAŁ I

Pan Kruszyński, właściciel niedużego folwarku Kruszelnicy, a zarazem zarządca majątku barona Ziemskiego, siedział w swym gabinecie. W tej chwili właśnie kończył rozmowę z młodym człowiekiem o pięknej, poważnej twarzy, rozjaśnionej weselem śmiejących się czarnych oczu.

- A teraz - mówił Kruszyński - chciałbym przedstawić mej córce kochanego profesora.

- Aż profesora? Brzmi to zabójczo poważnie... Doprawdy, z punktu można stracić zaufanie do mej osoby.

- Ma pan rację! Ona gotowa się tak ukryć, że nawet Antoś jej nie znajdzie. Jeszcze raz pana uprzedzam... Proszę się nie zrażać, że dziewczuszyko trochę dzikie, ale, panie, jedynaczka... z samymi chłopakami chowana, bez matki.

- Myślę, że zdołam pozyskać sympatię Ity, choć jestem tym nienawistnym, jak pan wspomniał, belfrem.

Pan Kruszyński pokiwał siwiejącą głową.

- Hm... Różnie to tam bywało do tej pory. Córka miała już sześć nauczycielek, czterech profesorów i nic z nią nie wskórali, bo każdy po paru dniach uciekał... Może pan... młody, pełen zapału do wiedzy, potrafi ujarzmić moją jedynaczkę.

- A cóż to za przerażająca panna! - zasępił się przez chwilę Witold, lecz zaraz wesoły uśmiech rozchylił mu usta. - To chodźmy...  
- zaproponował głośno. - Jestem szalenie ciekawy mej uczennicy!

Pan Kruszyński spojrział z pewnym zakłopotaniem, otworzył

usta, chcąc jeszcze coś powiedzieć, ale machnął ręką i zrobił minę odpowiednią do tematu „raz kozie śmierć”.

Wyszli na podwórze zalane potokami słońca. Cztery ogromne lipy zastygły w swej świeżej krasie... Nie drgnął żaden listek. Zaraz za furtką podwórka nęcił zapachem i czarem młodej masy zieleni wielki ogród. Upojną ciszę czerwcowego południa przerywał szum rzeki, płynącej w dole brzegiem ogrodu, ciągnącego się aż na wzgórze, oraz wesoły chlupot dwóch górskich potoków.

Dookoła sadu, gdzie okiem sięgnąć, falowały pasma wyższych i niższych gór, zarośniętych lasem lub łąkami obsypanymi bujnym kwieciem.

Witold szedł za panem Kruszyńskim wąską ścieżką i podziwiał piękno krajobrazu wschodnich Karpat.

- Będzie mi tu dobrze - myślał - tylko ta panna...

Przewodnik stanął.

- Otóż i uczennica. Witold wytrzeszczył oczy.

- Gdzie?!

- A tu... - Kruszyński machnął w górę.

Piękna twarz młodego nauczyciela wyrażała bezgraniczne zdumienie.

- Przepraszam pana, ale ja nic nie widzę.

- No przecież siedzi na drzewie... o tam... nogi.

Witold spojrzał na wysoki, potężny kasztan, otulony u stóp krzakiem bzu. Tam właśnie między fiołkowymi kiściami kiwały się dwie małe, białe, brunatne nóżki.

- Ładna perspektywa... Co ja tu, biedny, jeszcze zobaczę? -  
przebiegły chłopcu przez głowę skłopotano - rozweselone myśli.

- Ituś, córuchno... zejdz na chwilę, masz gościa.

- Nie jestem ciekawa... nie prosiłam go - dobiegł ich burkliwy  
głos spomiędzy masy liści i gałęzi.

- Ale zejdz tylko... będziesz zadowolona... Ita, nie róbże ojcu  
wstydu.

- Powiedziałam tacie raz, że nie chcę belfrów. Mam ich już  
dosyć. Niech idzie do stu diabłów... Nie zejdem!

Witold, ochłonawszy nieco, rzekł spokojnie:

- Widzę, że moja uczennica jest bardzo energiczna.

- Nie jestem jeszcze uczennicą, nie ma co sobie języka strzępić...

- przerwał gniewny głos. Młody nauczyciel ciągnął dalej tym samym  
chłodno - spokojnym tonem:

- ...Bardzo mi przyjemnie usłyszeć serdeczne i zachęcające  
przywitanie... oraz ujrzeć apetycznie wyglądające nóżki... Rad bym  
jednak przyjrzeć się i twej buzi, maleńka. Sądząc bowiem z  
zachowania, nie masz pewno więcej niż siedem lat...

Pan Kruszyński wyglądał w tej chwili jak posąg nabożnego  
zdumienia...

Zatrzęsły się gałązki, posypały kwiatki więdnących już bzów...  
Ktoś roztrącił gwałtownie krzaki...

- Jak pan do mnie mówi... jak pan śmie?

Przed Witoldem stanęła dziewczynka prawie smukła, ale nie  
chuda... Sukienka, ledwo do kolan, odsłaniała podrapane brunatne



nogi. Panienska zadarła hardo główkę, okrytą niebywale bujnymi kędziorami, sięgającymi ramion... Wyglądały tak, jakby z grzebieniem nie miały absolutnie nic wspólnego. Szczególny był jednak kolor tych zwichrzonych, skręconych pukli... Połyskliwe i puszyste mieniły się barwą mahoniu lub świeżo wyłuskanych kasztanów... Otulały twarzyczkę bardzo spaloną... i bardzo dziecinną.

- Czyż mogłem przypuszczać, że uczennica moja będzie panną dorosłą? Bardzo przepraszam w takim razie, ale nie wiedziałem tylko o dziwnym tutejszym zwyczaju przyjmowania nieznajomych...

Dwoma piorunami cisnęły duże, podłużne, w tej chwili złe, zielone oczy.

- Nie potrzebuję nikogo przyjmować... Nasyłają mi na kark durniów, którzy udają, że coś więcej ode mnie umieją... Nie chcę się uczyć, nie chcę być dobrze wychowaną panną, dajcie mi święty spokój, bo się wezmę z pięściami do roboty!

- Dziękuję za komplement... Ach! Niech się pan nie przejmuję - rzekł młody człowiek do Kruszyńskiego, którego nieszczęśliwa mina wołała: litości.

- Panna Ita chce mi zaimponować swą wiedzą. Jestem jej za to wdzięczny... ale pani pozwoli, że się przedstawię. Witold Leski, przyjaciel serdeczny Antosia... Zdecyduje się pani może podać mi rękę?

Swobodny ton, wesoły uśmiech i spojrzenie czarnych oczu podziały widać na nastroszoną pannę... Wyciągnęła małą i zgrabną, ale haniebnie podrapaną i brudną rękę.

Witold przytrzymał ją chwilę w uścisku i rzekł z wolna, uważnie patrząc:

- Nie mogę powiedzieć, żeby ta rączka była tak groźna, jak obiecują spojrzenia... Jest tylko troszkę brudna.

Ita tym razem zmilczała, ale wyrwała rękę i patrzyła spode łba na Witolda.

- Ituś, pokaż panu ogród... Ja muszę jechać w pole - rzekł Kruszyński i szybko się oddalił...

- Pan może sam obejrzyć.

- Stokroć przyjemniej będzie mi z panią...

- Niech idzie - rzuciła niedbale i, ruszywszy przodem, mówiła szybko ze złośliwym uśmiechem:

- To są jabłka, to gruszki, to śliwki, to altana, to wiśnie... Tam świerki... to rzeka - wskazywała machając ręką - a tam druga altana, ale wchodzić do niej nie wolno, bo moja. Już pan teraz wszystko wie. Zrobiłam, co chciał ojciec. Do widzenia.

- Zaraz... chwileczkę... Do tej altany wejdziemy oboje. Pokazała mi pani tyle ciekawych rzeczy, o których w istocie nie miałem pojęcia... Muszę zobaczyć i altanę.

- Ja nie pozwolę! Tam nie wchodzi nikt, tylko ja...

- Tak. Ale ja wejdę. - Wziął opierającą się pod rękę i z wyszukaną grzecznością, ale silnie trzymając, prowadził przez trawnik do ukrytej w krzakach bzu i tarniny budki na krawędzi ogrodu.

- Ja panu nie pozwolę... No! draniu jeden... puszczaj! - Byli już przy altance... i dziewczyna usiłowała jeszcze się bronić. - Jak pan

spróbuj się tam wdrapać, to trzepnę w łeb kamieniem...

- Ach tak... A zatem...!

Witold podniósł pannę jak piórko i oszołomioną posadził w altance na stole.

Uklonił się dwornie mówiąc:

- Bardzo dziękuję, że pani tak grzecznie pokazała mi swoje królestwo. Tymczasem do widzenia.

Wyszedł i ruszył na przełaj trawnikiem ku domowi.

Dopiero teraz poczuł zmęczenie. W głowie mu huczało.

- Ależ to raróg! Z taką pracować... - myślał przerażony. - Jezus Maria, tom wdepnął... A niech tego Antka! Ubrał mnie... no... - W tej chwili świsnęło mu coś nad głową. Uchylił się w bok, a potem podniósł z ziemi kamień i schował do kieszeni.

Tymczasem od furtki szedł mu naprzeciw Antek, szczupły, wysoki student...

- Witek, chodźże prędzej! Czekamy na ciebie... Poznałeś Itę?

- Miałem przyjemność... Wiesz, Antek, nie będę kłamał przed tobą... Przecież to jakiś ordynarny dzikus, gdzie ona była dotychczas!? Bój się Boga!

Patrz! To dla mnie ten kamyczek. Szesnastoletnia pannica... Jak wy ją chowaliście?! - mówił zirytowanym głosem.

Antek opuścił głowę i milczał... Wreszcie po chwili rzekł poważnie:

- Mój drogi, przebacz mi, naraziłem cię na przykrości, sprowadzając tutaj nieopatrznie, ale miałem nadzieję, że może ty coś

wskórasz z naszym dzikuskiem.

- Nie uciekam przecież, ale jestem zdumiony. Taki okaz...

- Posłuchaj! Nie będziesz się dziwił, gdy poznasz historię tego biedactwa.

Usiedli na trawie.

- Matka moja, wychodząc za ojca, była śliczną rozpieszczoną jedynaczką... Mąż ubóstwiał ją, ludzie psuli. Przyjechała tu na pustkowie, ale ojciec otoczył ją wygodami, nawet do pewnego stopnia komfortem. Pomimo że czuła się szczęśliwa, zdrowie zaczęła tracić, zwłaszcza gdy przyszły dzieci. Było już nas czterech, lecz matka, mimo zapracowania, marzyła o córce... Wreszcie, gdy miałem trzy lata, a Mietek pięć, urodziła się Ita, ale matka po dwóch miesiącach umarła. Pomyśl... Ojciec został z gromadką dzieci, z których najstarsze miało piętnaście lat... Został zrozpaczony, bezradny i pełen żalu do córki...

Przyjechała jakaś zaszuszone, gderliwa kuzynka, ale dała nam wszystko prócz serca, bo to w całości posiadał syn, dorosły prawie, któremu wciąż wysyłała za granicę pieniądze i paczki.

A ojciec, który, marząc o córce, wyobrażał sobie śliczne, rozkoszne bobo, do matki podobne - tracił coraz więcej serca do brzydkiego, krzykliwego brudaska... Spędzał zresztą całe dnie poza domem i nie wnikał w przyczyny samowoli i opuszczenia córki.

Nie miała, biedactwo, ani zabawek, ani odpowiedniego towarzystwa. Od starszych braci nabierała tylko sztubackich wyrażen. Najwięcej lgnęła do mnie. Przecież byłem jej najbliższy wiekiem...

Wreszcie i ja poszedłem do szkół. Ciotka umarła i dzieciak został zupełnie na łasce boskiej, dziewczek folwarcznych, a czasem pastuchów...

Spędzając całe dni poza domem, licho wie gdzie, stawała się coraz więcej nieokiełznana, nie uznająca niczyjego autorytetu... Kiedy bracia zjeżdżali się na święta i na wakacje, zwracali jej ciągle uwagę, a nieraz i poszturchiwali. Toteż uciekała od nich do mnie. Ja nauczyłem ją czytać i pisać, a gdy odjeżdżałem do szkół, wyła jak zwierzątko.

Gdy wreszcie ojciec zdecydował się wziąć nauczycielkę, było już za późno. Nikt z Itą nie wytrzymał. Nauczycielki się zmieniały, dziewczucha dziczała. Ojciec rozpaczał, więc myślałem, że może ty... taki elegancki...

- No, no! Bez głupstw - przerwał Witold.

- Że może ty właśnie potrafisz ująć siostrę... ale... - urwał i patrzył w oczy przyjaciela.

- Nie ma już ale... Daj pyska, Antek, może mi się uda. Biedna, mała sierotka - dodał po chwili. Ruszyli ku domowi.

Minęły trzy dni. Wszystkie próby przywołania Ity na lekcję spełzły na niczym. Chociaż deszcz lał jak z cebra, przez cały ten czas włóczyła się nie wiadomo gdzie, a Witoldowi ktoś wybił szybę w pokoju, ktoś pochlapał ubranie atramentem, ktoś włożył jeża do łóżka.

Nastał wreszcie dzień suchy, pachnący, słoneczny. Przy obiedzie Ita usiadła, jak zwykle, obok Antosia i patrzyła spode łba na Witolda, który nie zwracał na nią zupełnie uwagi. Rozmawiał swobodnie z

ojcem i braćmi Antka, Mietkiem i Lutkiem, którzy przyjechali na wakacje. W pewnym momencie wyjął z kieszeni kamień i, obracając go w palcach, rzekł z uśmiechem:

- Znalazłem bardzo ładny okaz, będę mógł śmiało dołączyć go do mego zbioru.

- Zajmujesz się mineralogią? - spytał Antek.

- Tak, ale myślę, że kariery na tym polu nie zrobię, bo nie zdążę... Życie krótkie, a na każdym kroku czyha niebezpieczeństwo.

Ita zaczerwieniła się i spuściła głowę. Zaiskrzyły barwą kasztanów potargane kędziory.

- Po obiedzie proponuję spacer łódkami - rzekł Lutek, zawołany wiosłarz.

- Doskonale - zgodziło się towarzystwo.

- Czy pan umie pływać? - rzuciła nagle Ita w stronę Witolda.

- Niestety, łaskawa pani - skłamał zapytany.

W zielonych oczach błysnął ogień.

- Oho... trzymaj się, profesorze - zwrócił sobie Witold w duchu uwagę, ale z uśmiechem rzekł do Lutka:

- Będziecie jednak musieli poczekać na nas, gdyż zaraz po obiedzie chciałbym odbyć lekcję z siostrzyczką... Myślę, że zejdzie nam szybko i miło.

- To możemy jechać sami. Będę wiosłować - zaproponowała niezwykle grzecznie panienska.

- W takim razie nie czekajcie, tylko płyncie wolno, to albo was dogonimy, albo spotkamy się u celu...

- Będziemy jechać w górę rzeki do lasu po lewej stronie, tam jest bardzo ładnie - mówił Lutek.

- Panna Ita zatem obiecuje mnie tam zawieźć, czy tak? - Panna Ita kiwnęła głową i mruknęła coś pod nosem.

Tym razem Antkowi udało się przyprowadzić siostrę do ojcowskiego gabinetu, gdzie czekał już Witold. Dziewczyna weszła z wyzywającą miną. Usiadła na kanapie, założywszy nogi na wałek, i zaczęła gwizdać, patrząc na Witolda, który stał przy oknie z rękoma splecionymi na piersiach.

- No! Niech pan zaczyna swoje mądrości, ja słucham.

- Nie, to ja słucham, patrzę i podziwiam. Gwiżdże pani cudownie, poza jest czarująca, wobec czego idę w pani ślady...

Usiadł obok niej i, przerzuciwszy nogi przez drugi wałek, zaczął pogwizdywać.

Dziewczyna patrzyła chwilę zdumiona, a potem zerwała się i wściekła krzyczała:

- Co pan sobie myśli do cholery! Ojciec panu płaci, żeby mnie uczyć, a nie przedrzeźniać!

Witold przybladł i zacisnął pięści. Po chwili jednak rzekł zupełnie spokojnym głosem:

- Wobec tego zaczynam: W gwarze wielkiego miasta na trzecim piętrze szarej kamienicy mieszka para staruszków. Przez okno ich pokoiku, zasłonięte białym muślinem, widać tylko skrawek nieba, szare, brudne, smutne ściany i kominy domów... Niekiedy na szafirowym kawałeczku zatrzepoczą, jak płatki czarnych róż, jaskółki.

Staruszkowie są samotni. Nad siwymi ich głowami przeszło wiele burz... Życie nie miało dla nich tajemnic - znali złe i dobre. Teraz siadają w okienku. Porozumiewają się z sobą głębokim, zamyślonym uśmiechem. Patrzą na zieleń zwisającą z doniczek... i tęsknią.

Nie zawsze byli samotni. Dzieci zabrał im świat. Z czasem zapomniały o siwej parze staruszków. Został tylko jeden syn, najmłodszy, ciężko pracujący żywiciel rodziców. Emerytura ojca nie wystarczyłaby im z pewnością, tym bardziej, że chłopak uczył się jeszcze. Teraz znów są tylko we dwoje, bo i ten jedyny musiał wyjechać dla chleba.

Staruszkowie siedzą więc w okienku z białym muślinem.

Uśmiechają się do siebie smutno. Czekają z tęsknotą, kiedy wróci ich syn. Wieczorem szumi samowar na stole, ale oni patrzą na nie zajęte miejsce i kiwają srebrnymi głowami. Myśli ich biegną w dal...

Zegar głucho wydzwonił godzinę... Wieleż jeszcze ich przeminie, zanim znów do stołu we troje usiądą?

Witold umilkł i spojrzął na Itę, która już przy pierwszych słowach przestała gwizdać i usiadła przyzwoicie. Teraz twarz miała ukrytą w dłoniach. Po chwili milczenia w pokoju rozległ się przedziwnie melodyjny, jakby nieukojoną tęsknotą nabrzmiały głos:

- Ach, gdyby mnie tak ktoś kochał, gdybym ja miała matkę, nigdy nie zapomniałabym o niej.

Po chwili dodała:



- Ale ten najmłodszy wróci do nich. Tak?

Witold słuchał zdumiony, nie wierząc własnym uszom. To Ita? Ona potrafi tak wzruszająco mówić? Serce uderzyło mu żywiej... Biedna, dzika duszyczka.

- Niech pani teraz spróbuje napisać usłyszane opowiadanie. Zakończyć może pani wedle woli...

Bez słowa sprzeciwu dziewczyna pochyliła się nad zeszytem. Witold chodził miarowymi krokami po gabinecie. Stanął przy uczennicy, chcąc zobaczyć, co i jak pisze, lecz głowa Ity niziutko schylona zasłaniała zeszyt. I nagle Witold poczuł szaloną chęć, aby położyć rękę na lśniącym puchu zwichrzonych kędziorów. Nie mógł się opanować i nieśmiałym, pieszczotliwym ruchem pogładził pochyloną główkę.

Ita spojrzała... Oczy jej były teraz jak dwa rozmarzone w księżycu szafirowe jeziora - łagodne, tęskniące i słodkie. Zaraz pochyliła nosek znowu...

- Skończyłam!

- Dziękuję, na dziś starczy. Teraz przypominam obietnicę. Jedziemy, prawda?

- No przecie, ale ja polecę przyszykować łódkę... Niech pan czeka - pospiesznie potwierdziła i wyskoczyła oknem.

Witold najpierw przebrał się w swoim pokoju. Potem przejrzał szybko pracę uczennicy i wyszedł do ogrodu.

Tysiąc różnych myśli krążyło w jego głowie. W uszach brzmiał mu jeszcze cudowny, śpiewny głos Ity. Przed oczyma miał jej twarz

rozjaśnioną spojrzeniem tęsknym i tkliwym. Otrząsnął się z zamyślenia i niecierpliwie przyspieszył kroku.

Szła naprzeciw.

- Niech pan idzie. Łódka już jest.

Oczy teraz znów błyskały zielonymi iskrami, a głos brzmiał ostro, nieprzyjemnie...

Zeszli na dół do rzeki. Wsiedli. Ita chwyciła wiosła i za chwilę płynęła z prądem. Witold, pewny jakiegoś figla, udawał zapatrzonego w krajobraz. Zerkał jednak bystro i uważnie na towarzyszkę, obserwując każdy jej ruch... Zauważył, że Ita nie jest, jak zwykle, na bosaka, ale w podartych łapciach, zawiązanych rzemykiem. Widział też z prawej strony na dnie łódki pęk gałganów, moczonych od pewnego czasu przez wodę, której było w łódce coraz więcej.

- No, profesorze, miej się na baczności - pomyślał i rzekł uśmiechnięty: - Ta łódka chyba dziurawa... Jeszcze się gdzie wysypimy.

- Ee, dlaczego dziurawa... Rozeschła się tylko. Do lasu wytrzyma. Niech się pan nie boi.

- Dobrze pani pływa?

- A co? Pewnie że dobrze.

- To chyba będę brał u pani lekcje, bo ja to jestem prawdziwa kłoda, którą ciągnie na dno.

- Mogę nauczyć... Ojoj... Nawet dziś! - W oczach dziewczyny błysnęły zielone płomyki.

- Panno Ito, a co tam sterczy z wody?

- Ślepy czy co? Przecie to kawałki mostu... To bale wyłazą, bo most woda zabrała w tamtym roku.

- A czy łódka tam przejdzie?

- No chyba... Taka wąska, to i przejdzie...

Już zbliżali się do wystających słupów. Łódka przemknęła między nimi. W tej samej chwili Ita zaczęła coś przy nogach majstrować.

- Te psiekrwie trepy mnie cisną - burknęła.

Witold bacznie patrzył... Ręka dziewczyny manipulowała koło gałganów... Nagle Ita wyprostowała się, rzuciła kłęb szmat do wody, a sama jednym susem wyskoczyła z łódki... Przez dużą dziurę szybko zaczęła z chlupotem wlewać się woda.

Dziewczyna tymczasem stała już na słupkach.

- Niech się pan uczy pływać - krzyknęła i, skacząc po palach, ruszyła do brzegu.

A profesor stał po kolana w wodzie. Dziury nie było, oczywiście, czym zatkać. W dodatku nawet wiosła kiwały się na falach urągliwie... Skoczył więc rad nierad w bystrą tutaj rzekę. Tą samą drogą, co miła uczennica, ruszył do brzegu, gdzie, dotarwszy, rozebrał się, po czym umieścił ubranie na krzakach, wybierając miejsce najbardziej słoneczne, a sam znowu plusnął w wodę.

Ita w tym czasie szybko biegła, nie oglądając się, bo chciała jak najprędzej znaleźć się w swej altance...

Było już koło piątej, gdy Witold skradał się przez ogród cichaczem. Niepostrzeżony dotarł do swego pokoju. Tu zdjął suche

już wprawdzie, ale wygniecione ubranie. Usiadłszy przy oknie, z którego widział ogród i rzekę, jął czytać uważnie wypracowanie Ity.

Błędów ortograficznych narobiła moc. Styl jednak miała prosty i jasny, choć niewyrobyony. Niezwykła moc uczucia ożywiała nieporadną konstrukcję. I znowu niezgrabne litery straciły dla Witolda ostrość. Przesłoniły je szafirowe tęsknotą oczy, zdradzające samotne, nieposkromione, ale gorące serce.

Powrócił do rzeczywistości. Poprawił interpunkcję i przeczytał jeszcze raz zakończenie.

„...A gdy znów zegar zadzwonił, to była już jasna godzina, bo syn wrócił i położył głowę na kolanach matki. Myślał, że jest takim małym chłopczykiem, a bez matki tam mu było smutno i tęskno, tak jak ślepemu szczeniakowi, gdy sam zostanie. Powiedział: Mamo, ty jesteś jak słońce, choć zamknę oczy, czuję twoje ciepło, a ojciec też się uśmiechał i już zawsze tak dobrze im było”.

Witold znowu poddał się ogarniającym go uczuciom.

- Biedactwo - myślał - pozostawione samo sobie rośnie jak dzikie drzewo. Kto mógł znaleźć do niej dostęp? Ojciec? Może, gdyby nie był taki zapracowany... Bracia? Toż oni, wróciwszy ze świata, nie potrafili zapewne zniżyć się do poziomu dziewczyny. Raziło ich zachowanie Ity, nieumiejętność jedzenia, ordynarne wyrazy...

Jeszcze Antek miał dla niej najwięcej serca, ale mało czasu. Może i zmęczenie nie pozwoliło mu całkowicie poświęcić wakacji siostrze, zwłaszcza że cały rok pracował solidnie i dużo.

I tak dziewczynka wyrosła wśród służby, nie wiedząc o tym, że

poza małą, rozkoszną dolinką jest świat piękny i tajemniczy, ale niedostępny dla niej, tak zaniebanej. Przypomniawszy sobie znów dźwięk jej głosu i spojrzenie.

- Muszę, muszę zdobyć tę smutną duszyczkę - przemknęła nagle ostro jasna myśl.

Na falach zamajaczył w dali ciemny kształt...

- Pewno wracają - rzekł do siebie Witold. Chciał koniecznie porozmawiać z Antkiem, czekał więc niecierpliwie, aż łódka przybije do brzegu. Kiedy wreszcie zauważył przyjaciela już w ogrodzie, blisko dworku, gwizdnął. Antek spojrzał i, widząc wymachujące ręce, podążył na górę.

- Cóż to? Nie byliście z Itą na rzece?

- Owszem. Nawet kąpaliśmy się razem...

- Co?! Wywróciła?!

- Mniej więcej... ale, Antek, ani słówka, że tu jestem. Postaraj mi się tylko o żelazko i nie daj poznać siostrze, że mnie widziałeś.

- Nie gniewasz się?

- E, mój kochany! Dobrze jest jak jest! Poczekaj miesiąc, będzie jeszcze lepiej... Twoja Ita jest zachwycającą osobką, ale teraz przynieś mi żelazko.

Trzy uderzenia gongu wezwały domowników na kolację. Była już godzina dziewiąta. Jadalny pokój, położony od północy, pogrążył się w cieniach wieczoru. Przez otwarte okno dolatywały tysiące najróżniejszych woni ogrodu i szum drzew wkoło rosnących.

- Kasiu, aniołku! Dajże tu lampę! - wołał rozpaczliwie pan

Kruszyński.

- Zara, zara... nie chce się, psiamać, odkręcić!

Koło stołu siedzieli już młodzi Kruszyńscy, dwóch praktykantów rolnych i Witold w elegancko wyprasowanym garniturze, w jakim udał się na spacer. Nawet kwiatek taki sam jak przedtem tkwił w butonierce. Obuwie starannie wyczyszczone też nie zdradzało niedawnej z wodą zażyłości.

Jeszcze jedna osoba wpadła jak burza do pokoju, przewracając po drodze krzesło. Witold szybko usunął się w cień za Mieczysława.

- Antoś, nie widziałeś gdzie tego belfra? - zapytał zdyszany głos.

- Nie... skądże? Przecież byliście razem...

- Chorroba!! - zawołała panienka z nutą żalu i strachu.

- Miał twego miłego towarzystwa dość i zwiął - odezwał się Lutek ironicznie.

- Zamknij gębę, bo wcale się ciebie nie pytam - krzyknęła wściekle i usiadłszy przy stole oparła oń łokcie i schowała twarz w dłonie...

Stary Kruszyński siedział jak na niemieckim kazaniu, nie wiedząc, o co młodym chodzi... Witold miał uczucie, jak gdyby ktoś pogłaskał go po głowie z serdeczną pieśczołą... Bracia tręcali się wymownie pod stołem. Kasia wniosła w końcu lampę... Panienka opuściła ręce, a wtedy Witold ukłonił się jej z miłym, ciepłym uśmiechem.

- Dziękuję pani za troskliwość... Szkoda, że nie wracaliśmy razem z przyjemnej przejażdżki.

Ita zaczerwieniła się. W oczach jej błysnęła radość, ale na sekundę, bo znów zielone skryły ją płomyki. Ruszyła ramionami, ale spod gęstych rzęs patrzyła na świeże ubranie, na kwiat i kombinowała:  
- Jak to się stało?

Gdy wstawali od stołu, Witold podszedł do dziewczyny i, mimo oporu, pocałował ją w rękę, mówiąc:

- Pani tu jest gospodynią, a zatem dziękuję i dobranoc, królewno fal...

Do późnej nocy w dwóch pokojach paliło się światło... Witold pisał list do matki, a potem coś malował. Ita zaś siedziała przy oknie i patrzyła na swą brunatną rączkę, rozpamiętując:

- Królewno fal... Jaki ten belfer inny od wszystkich... Nikt mnie nigdy nie pocałował w rękę. Bracia zawsze tylko pokrzykiwali, chociaż Antek nie, ale on też jest coraz więcej do nich podobny... A ten, ten belfer...

Uklękła w oknie i, złożwszy ręce, szeptała:

- Potężny Boże, nie gniewaj się, że nie chodzę do kościoła, ale nie mam sukienki jak inne panny i jestem czupidron, jestem zła. Daj, proszę, tym staruszkom, żeby ich syn wrócił i żeby mnie nie kusilo dokuczać belfrowi...

Świtało. Z gór pokrytych zielenią dymiły białe mgły. Na rzekę różowozłotym blaskiem kładł się uśmiech idącego z dali słońca, które lśniącym kluczem otwierało podwoje dla dnia kroczącego już z szelestem ziół, ze świergotem ptasząt. A tymi samymi podwojami uchodziła wonna letnia noc.

Witold stał w oknie i patrzył, jak z białych całunów odtulały się zielone szczyty, a szara rzeka nabierała jak bańka mydlana kolorów i blasków. Patrzył na dziki, zapuszczony i piękny ogród, tchnący rzeźwym, pachnącym chłodem. Słońce już weszło w triumfie i ptaki dzwoniły hymn powitania.

Zszedł do hallu. Pusto było tutaj, ale porozsiadały się wszędzie złote promienie, nadając dużej sali miły, przytulny wygląd. Dopiero teraz zauważył we wnęce przy oknie fortepian, a nad nim portret kobiety.

Twarzyczka przypominała Itę, ale tchnęła czarem subtelnego, słodkiego uśmiechu... Włosy, nie tak burzliwe, otulały złocistym cieniem białosc licca. Ale spojrzenie... - toż to wczorajsze spojrzenie Ity, spojrzenie zamyślonych głębin.

- Może z twoją pomocą uda mi się zbudzić dobro w duszy dziewczyny - pomyślał Witold i wyszedł do ogrodu. Szedł przez trawniki, sycąc się urokiem świeżego poranka. Błądził wśród zarośniętych i poplątanych ścieżek. Nagle znalazł się niedaleko altanki Ity.

Bez namysłu skierował tam kroki... Gdy był już bliźutko, zdało mu się, że słyszy głos dziewczyny. Podeszedł na palcach i, rozsunąwszy nieco zieleń, obrastającą ściany, spojrział do wnętrza.

Na stole siedziała Ita w nocnej, rozpiętej na piersiach koszuli. W rękę trzymała talerz, z którego troje kociąt i dwa maleńkie szczeniątka pożywiały się zapalczywie, rozpryskując mleko wokoło. Ita była uśmiechnięta, a uśmiech ten tak rozpromieniał ciemną, dziecinnie



okrągłą twarzyczkę, że Witold się zdumiał... Znikł dziki wyraz oczu, spokój rysów pozwolił upajać się kształtem purpurowych, maleńkich ust, lekko zadartego noska i okrągłej bródki. Z całej postaci była miękkość.

Głos dziewczyny znowu wibrował melodyjną tęsknotą i czuć było w nim ciepłą głębię.

- Pijcie, moje sierotki! Ja też nie mam nikogo. Nikt Ity nie kocha, bo jestem raróg... Te, Miśka, nie pchaj się. I tak dostaniesz swoją porcję... Rośnijcie, draniulki, to potem sprowadzę wam belfra na lekcję grzeczności.

Poukładała towarzystwo w dużym koszu, jednego kota przytrzymała dłużej i, tuląc go, mówiła:

- Ty mój, biedaczku, skrzywdzili cię. Ita wyleczy nóżkę sierotce, przyniesie co dobrego.

Witold w ostatniej chwili zauważył, że najwyższy czas oddalić się, toteż uciekał na palcach co tchu. Usiadł w bocznej alei pod przekwitającą trześnią. Podparł głowę na rękę.

- Dusza w tej dziewczynie jest jak jej ogród - myślał. - Na pozór dzika i zaniedbana, a co krok spotyka cię jakaś miła niespodzianka. To, co widziałem przed chwilą, świadczy, że Ita ma dobre, gorące serduszko, że odczuwa boleśnie krzywdę swego zaniedbania. Przypomniał sobie pierwsze z „rarogiem” spotkanie, przebiegł myślą inne chwile aż do obecnej. Zamajaczyła mu w wyobraźni kędzierzawa główka i twarzyczka małej Hinduski z obrazka. Jakie trafne porównanie! Mała Hinduska... - uśmiechnął się.

W tej chwili spadł na niego deszcz mokrych płatków i prysznic chłodnej rosy otrzeźwił go z marzeń... Zadarł głowę. Na czereśni siedziała uczennica w tej samej nocnej koszulce, w jakiej była w altanie... Patrzyła nienawistnie, strzelając zielonymi błyskami. Nie przebierała też w słowach:

- Czego pan tu chce? To moja ławka!

- Wiedziałem tylko, że altanka jest pani wyłączną własnością.

Ławka nie ma karteczki z imieniem właścicielki.

- Niech się pan wynosi!

- Przykro mi, ale nie zastosuję się do życzenia.

- Zobaczymy! Zieloną twardą szyszką poczęstowała Witolda w ramię. On nie myślał odchodzić.

Drugą szyszką palnęła go w czoło.

- Czekam, aż się zapas wyczerpie... Na czereśni chyba szyszki nie rosną, a zauważyłem, że pani fartuszka nie ma, aby magazynować pociski - rzekł belfer.

Dziewczyna tym razem wycelowała lepiej, bo Witold poczuł dotkliwy ból w oku. Złość na chwilę odjęła mu mowę. Przymknął oczy.

Jeszcze raz poczuł zimny prysznic i nagle usłyszał głęboki i ciepły głos:

- Bardzo pana boli? Spojrzał zdumiony... Przed nim stała Ita, nie krępując się najzupełniej swego stroju, który pozwalał widzieć więcej niż najgłębszy dekolt. Głowa obsypana białymi płatkami pochylała się nad nim, a oczy dziewczyny były znów szafirowe.

- Nie, nie bardzo boli... ale, panno Ito, pani jest nie ubrana.  
Proszę iść do domu!

Spojrzała ze zdziwieniem, protestując:

- Mnie ciepło. Ja nie chciałam, aby pana bolało. To tylko...

- Ja wiem...

Wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie:

- Proszę położyć dłoń na moim czole, to przestanie boleć.

Uśmiechnęła się coraz więcej zdumiona, ale usłuchała.

Chwilę czuł blizutko jej świeże, chłodne od rosy, zielenią pachnące ciało... Nagle zacisnął zęby.

- Niech pani ucieka do domu! Za godzinę spotkamy się w gabinecie. Mam coś dla pani!

Szybko pobiegł do swego pokoju. Chodził roztrącając krzesła jak wariat. Nie mógł zebrać myśli, dręczył go drażniący niepokój, budziło się tysiące pytań, na które nie mógł znaleźć odpowiedzi. Wreszcie i pewien nieokreślony wstyd ogarnął jego prostą, szczerą duszę.

Najbardziej gnębiła go myśl, że musi spotkać się z dziewczyną przy śniadaniu. Toteż, gdy rozległ się dzwonek i domownicy usiedli przy stole, jął z wielkim zainteresowaniem wypytywać pana Kruszyńskiego o miejscowe warunki rolne. Zagadnięty uśmiechnął się zadowolony. To był jego ulubiony temat. Mówił dużo i ze znajomością rzeczy.

- Ale pan podobno artysta, a żaden taki nie był dobrym agronomem - roześmiał się w końcu.

- Ech... zaraz artysta. To Antek mnie tak uczył. Maluję trochę, ale to jeszcze nie artyzm.

- Nie bądź taki skromny! Wszyscy twierdzą, że masz talent!

- Tak! Duży talent i pustą kieszeń, a więc wszelkie dane, by zostać sławnym artystą.

- Nigdy nie trzeba tracić nadziei - rzekł Kruszyński. - Kto wie, czy nie będę kiedyś podziwiał prac słynnego malarza, Witolda Leskiego. Trzeba tylko chcieć.

Po śniadaniu Ita podeszła do nauczyciela, który poczuł, że się rumieni. Była teraz w różowej, perkalowej sukience, ale on miał jeszcze oczy pełne innego widoku.

- Miał mi pan coś dać.

- Tak, przejdźmy do gabinetu. Pobieгла naprzód, dudniąc bosymi stopami.

Za chwilę znalazł się sam na sam z uczennicą. Odwinął spory karton.

- Niech pani spojrzy na ten obrazek.

Dziewczyna schyliła główkę. Ciekawość nadała ciemnej buzi dziecięcy, ciepły wyraz.

- Jakiś król, jakaś królowa... A co oni robią? Jak ślicznie! Czy to kościół?

Obrazek przedstawiał Mieszka i Dąbrówkę u króla Bolesława. Witold starał się przedstawić jak najbarwniejszą scenę z życia Mieszka I, pragnąc zainteresować dziewczynę, i nie zawiódł go ten sposób. Ita patrzyła zachwycona. Witold cichym głosem zaczął

opowiadać historię tak, jakby mówił jakąś piękną bajkę. Uczennica słuchała z rozchyłonymi ustami i błyszczącymi oczyma.

- A teraz może ja posłucham, a pani mi to powtórzy... dobrze?

- Ja tam nie potrafię.

- Ręczę, że opowie pani lepiej ode mnie. Proszę tylko spróbować, patrząc na obrazek. Niech się pani zdaje, że to pani właśnie jest Dąbrówką i opowiada o sobie.

I rzeczywiście. Opowiadanie Ity, choć bardzo proste, było dobre. Z przymkniętymi oczyma mówiła melodyjnie, jakby przeżywając własną opowieść. Nagle rzuciła niespodziewanie:

- Mnie żal Mieszka, on pewno wolał swoje bożki i bałwany. Im przecie było też smutno, że tak od razu ich przestał lubić.

Witold miał więc sposobność opowiedzieć szerzej o wierzeniach pogan i religii chrześcijańskiej.

- Widzi pani - kończył - chrześcijanie uczyli kochać. Kochać wszystkich. Poganom wolno było nienawidzić.

- Iwan też jest chrześcijanin, a co dzień pierze swoją Paraskę po mordzie i mówi, że ją zatłucze.

- Iwan to zwierzę. Na kobietę nikt nie ma prawa ręki podnieść, to wstyd i grzech.

- A mnie tyle razy bracia wytłukli...

- Pani była jeszcze dzieckiem, Ito... Nie rozumieliście się. Bracia na pewno chcieli tylko pani dobra. Ale nie mówmy o tym. Teraz nikt pani nie skrzywdzi, póki ja tu jestem! - zawołał gorąco i poczuł, że mówi prawdę.

Spojrzały nań ciemne, migotliwe oczy. Ita chciała coś powiedzieć, ale potrząsnęła głową, odpędzając jakby zrodzoną w tej chwili myśl. Nagle, wedle zwyczaju, wyskoczyła oknem. Później bracia Kruszyńscy zabrali Witolda nad rzekę. Chcieli się wykapać. Antek spytał zaciekawiony:

- Jak poszła dziś lekcja?

- Wyśmienicie! - odparł Witold i uśmiechnął się. Był zadowolony.

Minęły upalne godziny południa, kiedy stali na moście niedaleko domu, czekając na wąskotorową kolejkę, wożącą drzewo. Wybierali się na daleki spacer i chcieli kawałek drogi podjechać. Było już koło godziny czwartej.

- Ciekawe, czemu ta smarkata nie przyszła na obiad? Ojciec znów się zirytował - rzekł Lutek.

- Nie znasz jej? Nie chcę i już, do cholery! - naśladował siostrę Mieczysław.

- O wilku mowa... Panna Ita właśnie pędzi - zauważył Witold.

Jakoż na drugim końcu mostu zadudniła bosymi nogami. Chciała przebiec koło chłopców, ale nagle Lutek chwycił jej rękę, wołając z naganą:

- Gdzie ty się włóczysz! Wiesz, o której obiad? Żeby mi to było ostatni raz.

- Poszoł! - odepchnęła go energicznie i pobiegła dalej.

Wtem usłyszała za sobą zdyszany głos:

- Panno Ito, proszę nie uciekać. Bardzo proszę... Idziemy na

obiad razem!

Zwolniła kroku, ale milczała.

- Pani zrobiła zapewne duży spacer, prawda? Ale gdyby pani i jutro gdzieś się wybierała, to proszę i mnie pozwolić towarzyszyć sobie.

- Jeszcze czego!... Też! - opryskliwie, gburowato rzucone wyrazy dotknęły go.

- Będę się naprzykrzał i musi pani pozwolić. To dla mnie taka przyjemność.

- Musi to na Rusi, a w Polsce jak kto chce... Nie może pan sam iść?

- Wolę mieć przewodniczkę obeznaną z okolicą i tutejszą przyrodą. A zatem zgoda?

Weszli do jadalni.

- Kasia! Co u diabła, wszystko zimne! Cóż to, prosię jestem? Zagrzej w tej chwili.

- Starszy pan nie kazał. Ita ma się nie spóźniać...

- Co? Ja ci te garnki na łbie porozbijam, jak nie usłuchasz - walila pięścią w stół.

- Starszy pan nie kazał!

- Może Kasia będzie łaskawa w takim razie dać dla mnie obiad, ale ja lubię gorące - rzekł Witold grzecznie.

Służąca wytrzeszczyła oczy jak młyńskie koła. Widziała przecież, że belfer jadł już obiad, ale ponieważ zakaz pana starszego nie tyczył nauczyciela, więc za chwilę na stole dymiała i pachniała

apetycznie zupa.

Witold podał Icie łyżkę, sam wziął drugą.

- Będziemy chyba wsuwać z jednego talerza, co?

Dziewczyna chciała się roześmiać, ale wołała burknąć:

- Nie potrzebuję łaski!

- Eh, królowno, kto tu myśli o takich głupstwach. Jazda, już...

- podniósł do ust łyżkę. Zupa tak ślicznie pachniała.

Witold zachęcał i przekonywał, więc panienka zapomniała o złości i zaczęła się raczyć wygłodniała. Nie wiadomo nawet, kiedy była już po obiedzie.

- A może teraz przejdziemy się gdziekolwiek - zaproponował nauczyciel. - Taka ładna pogoda.

- Pojedziemy łódką!

- Doskonale. Czy... do mostu?

- W głosie drgał mu śmiech.

- Gdzie będę chciała! Chwycił ją za rękę, wołając, nie zrażony, radośnie:

- Już pędzimy!

- No... ja oknem!

- Świetnie. Skaczemy razem! Trzymając się wyskoczyli jak piłki do ogrodu. Gospodyni, Kasia i parobek, którzy cały czas dekorowali drzwi kuchenne pełnymi zdumienia twarzami, wydali teraz okrzyk zgrozy i spojrzeli po sobie z komicznym przerażeniem.

- O rety! Że ta pomyłona, to wiadomo... ale ten? - gospodyni wzniosła oczy do nieba.



- Chyba go zaraziła... - zawyrokowała Kasia.

A młodzi, nadal trzymając się za ręce, zbiegli na dół do rzeki. Tu Ita odczepiła łódkę i odbiła od brzegu. Twarzyczkę jej rozjaśniał wesoły uśmiech. Po dwudziestu minutach Witold zaproponował nieśmiało:

- A może teraz ja powiosuję? Milcząc podała mu wiosło. Gdy mijali pamiętne słupki, Witold mrugnął szelmowsko i zapytał:

- Morowo było, co?

I dziewczyna pierwszy raz głośno się roześmiała. Prysły na falach perełki jej dźwięcznego śmiechu. On słyszał w nim granie polnych dzwoneczków i śpiew zachwyconych skowronków.

- Ta rzeka przypomina mi Wisłę - rzekł Witold w pewnej chwili.

- Co to Wisła?

- Wisła... Wisła to wielka rzeka, która płynie przez całą Polskę i błogosławi polom i łąkom, przytula modre wstęgi innych rzek i wreszcie ginie w morzu.

- Niech pan powie o niej dużo. Płynęli wolno, a Witold lekko i dostępnie opowiadał.

- Chciałabym zobaczyć to wszystko. I te miasta...

- Zobaczy pani.

- Ale! Zobaczę! Mam to włożyć co na siebie? Umiem to chodzić, mówić? Nawet do kościoła nie jeżdżę. Ojciec boi się, że mu wstyd zrobię... Bracia uciekają jak najdalej - mówiła z goryczą.

Witold milczał, ale w głowie świtał mu już projekt.

Na drugi dzień lekcja odbyła się znów spokojnie, bez ekscesów

Ity. Witold nie kładł na nią balastu książkowych mądrości... Zaczynał niby od niechęci, a wszystko, co mówił, zabarwiał interesująco, aby zaciekawiać dziewczynę. Nie żałował serca i dzikusek to wyczuł może, bo słuchał i powtarzał chętnie.

Któregoś dnia Witold zadeklamował jej najpierw: „Góralu, czy ci nie żal”. Potem mówił dużo na temat poezji. Doprowadził do tego, że Ita poprosiła:

- Niech pan jeszcze powie... taki wiersz!

Zaczął więc mówić o Konopnickiej. Powiedział jeszcze kilka drobniejszych utworów. Dziewczyna drżała z wrażenia.

Po lekcji poszli na spacer. Wspinali się po dość stromym zboczu wzgórza wśród gęstwiny krzaków. Co chwila przewodniczka musiała odpowiadać na nieustanne pytania Witolda, dotyczące kwiatów, ziół, krzewów. Wreszcie rozgadała się na dobre, a jej towarzysz z zachwytem patrzył na uśmiechniętą, ożywioną buzię, z rozkoszą słuchał jej śpiewnego głosu.

- Panno Ito, zdaje mi się, że czas na obiad.

- A co mnie to obchodzi?

- Będą niezadowoleni...

- Mam ich w nosie... Mogą mnie całować w piętę. Co to?

Dziwka ich jestem?

- Niece... któż tak mówi? Wobec tego zjemy sobie obiad tak jak wczoraj?

- No!

Wrócili koło czwartej. Ita uśmiechnięta, z pękiem kwiatów.

Witold, przystrojony zielskiem, sprawiał trochę wrażenie stracha na wróble. Powitały ich spojrzenia takie, jakby co najmniej byli uciekinierami z Honolulu.

Upłynęły jeszcze ze trzy dni. Ita uśmiechała się coraz częściej, a pan Kruszyński potrząsał głową w niemym podziwieniu. PO lekcji młoda para szła na spacer, z którego wracali przed zachodem słońca. Jedli obiad sami, przy czym Witold ostrożnie zaczął próbować oduczać dziewczynę brzydkiego jedzenia. Niby żartem wyciągał jej łyżkę z ręki, gdy trzymała nieprawidłowo, i zachęcał, by spróbowała trzymać inaczej. Nie obyło się, oczywiście, bez epitetów... diabłów, czortów, cholery. Uparty młodzieniec zawsze postawił na swoim.

Nadszedł dzień dwudziestego trzeciego czerwca. Ponieważ był bardzo upalny, Ita postanowiła odłożyć spacer na później, po obiedzie. Mieli zwiedzić w okolicy ruiny starego zamku.

Siedziała więc na werandzie, czekając na nauczyciela... Wreszcie zniecierpliwiona poszła na górę, ale pokój Witka był pusty. Na stole białł jakiś list.

Pochyliła nad nim lśniąca główkę. Czytała pospiesznie:

„Mój najdroższy Synku!

Jakże rada jestem, że Ci tam dobrze. Tęsknota moja nawet nie jest tak bolesna. A ta miła panienka, twoja uczennica, biedactwo, bez matki. Ona jest jak kwiatek biedny, rzucony w kurz na drogę.

Dziś, gdy życie już jest poza mną, odczuwam wszystko głębiej, ale spokojniej, choć boleśniej.

Ja, widzisz, jestem jak drzewo, które potraciło na jesieni

wszystkie listki. Odleciały w świat. Został tylko jeden jedyny do nagich przytulony gałęzi - to ty, mój Synu. Pragnę więc dla Ciebie wszystkiego słońca, wszystkiego ciepła życia.

Posyłam ci żądane lampiony. Ledwo je znalazłam, bo leżały pod łóżkiem ojca w skrzynce z książkami. Bądź zdrow, najmilszy. W sobótkowy wieczór pójdziemy nad Wiselkę i pošemy Ci najserdeczniej gorącą myśl.

Twoją najdroższą głowę obejmujemy, błogosławimy i z tęsknotą czekamy powrotu Matka i Tatuś”

Gdy Witold wpadł zdyszany do pokoju, zastał uczennicę głośno łkającą.

Wzruszenie zatrzymało na moment bicie jego serca.

- Panno Ito... dziewczyno moja... Co to? Czemu?!

- Jaki pan szczęśliwy... Jak ja panu zazdroszczę. Jak nienawidzę za to! - krzyknęła.

Chwycił jej opalone ramiona.

- Ituś!

- O mnie nikt... nikt nie dba, nikt nie myśli z tęsknotą, nikt...

- Ach! Niech pani idzie prędko, prędko do swojej altanki!

Spojrzała przez łyzy zdziwionymi szafirami.

- Chodźmy, pani mi daruje, że wszedłem tam - mówił szybko.

Zbiegli na dół. Bez tchu przemknęli przez trawniki.

Na progu altanki Ita krzyknęła...

Cała altanka ustrojona była zapalonymi lampionami. Na stole leżało dwadzieścia wianków z kolorowymi świeczkami.

- Dziś przecież sobótka, Itus... Będziemy puszczać wianki. Wieczorem na łódce pozatykamy na kijach lampiony, dobrze?

Dziewczyna stała drżąca, wzruszona. Pierwszy raz w życiu widziała coś podobnego. Ktoś o niej myślał jednak. I znów zadrgały polne dzwoneczki i pieśń zachwyconych skowronków w radosnym śmiechu... Zapomniała nawet, że Witold bez pozwolenia wszedł do altanki.

Wieczór był cudowny, oddany im i zasłuchany w bicie szczęśliwych serc. Płynęli udekorowaną łódką. Ita rzucała na wodę wianki i śmiała się. Bracia patrzyli na siebie nie tylko ze zdziwieniem, ale i wstydem.

Ten obcy człowiek otulił samotne serce dziewczyny troskliwą serdecznością. Oni tego nie potrafili.

Było już koło godziny dwunastej. Witold nie mógł spać. Myślał o dziewczynie. Czuł, że każda niemal chwila zbliża ją do niego, a i on przywiązał się do niej tak niepostrzeżenie nie w pełni pojętym uczuciem.

Wszedł do parku. Srebrne, chłodne promienie zakłęły nawet ciszę letniej nocy. Witold przez chwilę poddawał się nastrojowi. Potem powoli doszedł do miejsca, skąd schodziło się nad rzekę i nagle drgnął...

Tam w dole... na brzegu stała naga dziewczyna. Widać przed chwilą wyszła z wody, bo krople drżały jeszcze na niej i stroiły jakimś blaskiem. Ręce splotła wysoko nad głową w tył przechyloną.

W tej srebrnej ciszy, na tle ciemnej, błyszczącej odbitymi

promieniami wody, zdawała się być rusalką wyczarowaną z fal.

- To Ita...! - krzyczało Witoldowi serce. - Ita! Ita!

Ogarniało go nieznane uczucie na widok tego piękna, czystego i przenikającego do głębi.

Tymczasem Ita przeciągnęła się leniwie i podniosła z kamieni koszulkę. Trzymając ją w ręku pięła się powoli ku górze.

On również pospiesznie powrócił. Wpadłszy do pokoju, rzucił się na łóżko. Senne marzenia pełne były obrazów dziewczyny widzianej w księżycowej poświacie. I na jawie mógłby ją mieć taką nagą przy sobie, a nie ważyłby się tknąć tego brunatnozłotego ciała, którego krasa napełniała go wzruszeniem i niemal czcią.

A ona na dzień dobry uśmiechnęła się do swego belfra serdecznym, miłym uśmiechem dziecka. Ku ogólnemu zdziwieniu ani razu przy śniadaniu nie przekleła. Nie opierała na stole łokci, a filiżankę trzymała zupełnie poprawnie. Stary Kruszyński promieniał. Tylko praktykanci patrzyli z dwuznacznymi uśmieszkami na Witolda.

Po lekcji, na której Witold zaczął dziewczynie czytać „Pana Tadeusza”, pozwalającego poruszyć mnóstwo tematów, poszli jak zwykle na spacer.

Gdy przedzierali się przez zarośla, Ita krzyknęła:

- Aj... psia twoja mać!

- Z piekła rodem - dokończył za nią Witold. - Co się stało?

- Nie mogę włosów odplątać... oj... Niech pan idzie... nooo!

Szarpnęła rozpaczliwie głową. Potargane kędziory splotły się z cienkimi gałązkami. Witold ruszył na pomoc. Delikatnie rozdzielał

każdy niemal pukielek, wyswobadzając biednego więźnia. Ita przy tym niecierpliwiła się strasznie:

- Prędeż! Co się pan grzebie jak kura w gnoju... ee... bo mi się śpieszy!

- Niechże pani stoi spokojnie... Szkoda każdego włoska... takie są śliczne.

Podniosła zdziwione oczy.

- No i po co pan tak łże...

- Ja nigdy bez potrzeby nie kłamię. Pani włosy są naprawdę bardzo piękne.

- Kiedy nawet Majewiczka się śmieje, że mam chyba kołtun. Gada, żeby je obciąć.

- Głupia baba... - zżymał się Witold. - Już ceremonia skończona... Teraz należy mi się nagroda... Mogę ją wziąć? - Pocałował jeden roztrzęsiony pukielek. Panienka parsknęła śmiechem i skoczyła naprzód jak dzika koza.

Tym razem nie spóźnili się na obiad.

- Dobrze, że przyszedłeś. Mam przyjemną wiadomość - rzekł do Witolda Mieczysław.

- No? Jestem ciekaw nowiny.

- Jesteśmy zaproszeni na imieniny panny Janeczki, córki właściciela tartaku pod Skolem... Czternaście kilometrów stąd. Zabieramy cię z sobą. Zabawa tam zawsze wspaniała. Janeczka czarująca. Nie będziesz żałował.

Witold spojrzał spod oka na Itę. Zbladła, a w oczach pojawiły się

znów zielone błyski. Zaczęła jeść głośno i ordynarnie.

- Niech pan jedzie, profesorku, należy się panu rozrywka... - rzekł dobrotliwie Kruszyński.

W tej chwili Ita jednym machnięciem ręki strąciła na podłogę stojące przed nią talerze.

- Co wyprawiasz, idiotko?! - krzyknął Mietek.

- Wstań od stołu! - rzucił ostro ojciec.

Dziewczyna blada, z ustami zaciśniętymi, podeszła do brata i poczęstowała go pięścią. Zanim zdołał schwycić napastnicę, uciekła z pokoju, krzycząc z daleka:

- Nic wam do mnie, pasibrzuchy! Witold czuł niespokojne bicie serca. Przeprosił towarzystwo i wybiegł za uczennicą... Zgadywał, że będzie w altance.

- Wynosić się stąd! - krzyknęła ujrawszy go.

- Ito!

- Wynosić się, psiakrew, bo dam w mordę, aż zaświeci! Wściekłość biła z jej szmaragdowych teraz oczu.

- Niechże się pani uspokoi - próbował ją ułagodzić.

Zeskoczyła ze stołu i z całej siły uderzyła Witolda w piersi. Nie ruszył się z miejsca. Zbladł tylko i spokojnie oczekiwał rozwoju sytuacji. Ita widać wyładowała wszystką pasję, bo wybuchnęła płaczem. Pozwoliła się objąć. Przytulił ją mocno do siebie. Gładził rozburzone lśniące kędziory, nie myśląc nawet o pocałunku. Odczuwał krzywdę, jaką niechcący wyrządzono biednej małej.

- Ituś... popłyniemy sobie łódką... Znowu zapalimy wieczorem



lampiony.

- Ale... pojedziemy... Przecież pan do tej Janeczki... Zawsze o niej słyszę... nie cierpię jej!

- Panno Ito, ani mi nawet przez myśl nie przeszło jechać tam... jak rodziców kocham... ani na sekundę....

- No to płyniemy - rzekła krótko.

Gdy Witold wieczorem myślał o tym wszystkim, zadawał sobie pytanie, czy przez Itę przemawiała zazdrość? Może w takim razie go kocha? Chociaż... zazdrość jej wypływa chyba z innych pobudek. Ona pewno też chciałaby się bawić, biedactwo, a myśl, że inne są szczęśliwe - wzbudza w niej żal.

Przypomniał sobie jej ufne oczy, gdy trzymał ją w ramionach. Tak tuli się dziecko do matki, siostry, brata - bez śladu zmieszania lub wzruszenia... Na pewno przywiązała się trochę do niego, ale on nie powinien robić sobie żadnej nadziei.

Znów serce zaczęło mu bić żywiej. Wyciągnął z szuflady papier listowy i zaczął:

Najdroższa moja Mateńko!

## ROZDZIAŁ II

Dzień wstał chłodny i dżdżysty. Po śniadaniu, jak zwykle w niedzielę, siedzieli wszyscy w hallu. Mietek i Lutek na wyścigi opowiadali, jak świetna była zabawa... Co za toalety! Jakie fryzury!

Ita pogwizdywała. Antek milczał.

- Ja już chcę mieć lekcję! - rzuciła ostro.

Młodzi spojrzeli po sobie, a panienska schwyciła Witolda za rękę i wciągnęła do gabinetu.

- Ja nie chcę, żeby pan rozmawiał z braćmi.

- Czemu?

- Bo to są dranie skończone!

- A chce pani mieć lekcję naprawdę?

- Niech mi pan dziś opowie dużo, dużo... Ja tylko będę słuchać.

Mnie jest dziś tak smutno, jakby mnie brzuch bolał.

Witold przygryzł wargi.

- Będę pani czytał „Pana Tadeusza”.

- Tak! Zaczął. Za chwilę ktoś zapukał i w drzwiach stanął pan Kruszyński.

- Profesorku, powóz czeka... Nie jedzie pan do kościoła z chłopakami?

- Nie... dziękuję za pamięć, ale mamy ważne sprawy z panną Itą.

Stary pokręcił głową i wyszedł.

- Ja raz słyszałam organy. Może więcej razy, ale już dawno, dawno... z siedem lat temu. Chciałabym jeszcze kiedyś je usłyszeć. Bogu też musi być przyjemnie, że mu tak wygrywają.

- Niedługo pani usłyszysz organy.
- Naprawdę? Przyzwyczała się już wierzyć mu.
- Naprawdę Ituś. Klepnęła go po kolanie z uciechy.
- Fajnie! Niech mi pan teraz opowie o Warszawie i..., i o tych staruszkach.

Po obiedzie rozjaśniło się nieco, więc Ita zaproponowała spacer konno.

- Ale ja jestem słaby jeździec.
- O, znowu pan łże... kłamie - poprawiła się.
- No, zobaczy pani. Jakoż ze sposobu trzymania się wywnioskowała, że belfer mówił prawdę. Wyjechali wolno za bramę. Gdy znaleźli się na niezbyt równej, wiodącej do lasu drodze, w oczach Ity mignęły znowu zielone iskierki. Bez namysłu uderzyła Witoldowego konia szpicrutą. Koń wspiął się i pomknął jak szalony. Za chwilę znikł pannie z oczu.

Jechała stępa śladem kopyt. Było jej bardzo przykro. Nie zastanawiała się, czemu zrobiła taką psotę. W ogóle rzadko myślała o swych czynach, ale gryzła ją świadomość przewinienia. Pomysł figla zbudził się tak nagle jak trzask szpicruty.

Teraz każdy krok powiększał niepokój dziewczyny. Nagle na drodze ukazał się koń. Stapał zadzierzyscie, bez pośpiechu, kołysząc pustymi strzemionami. Ita krzyknęła przeraźliwie i pomknęła jak szalona naprzód.

Zaraz na skraju lasu zauważyła Witolda siedzącego na ziemi. Usta miał blade, zaciśnięte i trzymał się oburącz za nogę. Przerazona

dziewczyna zeskoczyła z konia i przyklękła obok nauczyciela.

- Głupstwo pani zrobiła. Nie będziemy parę dni chodzić na spacer... noga chyba zwichnięta - rzekł cichym, drżącym głosem. Oprócz bólu czuł żal i zniechęcenie do uczennicy.

- Proszę pana... to już ostatni raz! Proszę pana, ja już nigdy... Wściekła suka jestem... Niech się pan nie gniewa, mój panie! - prosiła gorąco pełnym łez głosem. - Niech pan da nogę! Ja się znam na tym. Zobaczę! Ja wszystkim dziewczuchom opatrywałam skaleczenia... ja umiem...

- Ale cóż znowu, panno Ito... Niech mi pani tylko pomoże wstać.

Oparł się na niej i jęknął, stąpnąwszy nieostrożnie chorą nogą.

- Jaki pan głupi... przecież bym mogła coś poradzić, obwiązać.

- Nie, nie! Dziękuję, malutka... Chodźmy do domu.

Opierał się na niej coraz silniej. Coraz częściej syczał, aż wreszcie zemdlał.

Ita chwilę stała zmartwiała. Potem rzuciła się na kolana przy leżącym i z dzikim krzykiem jęła szarpać go za rękę... okrywała gradem pocałunków bladą twarz. Były to pocałunki wielkiej trwogi, błagania o przebaczenie.

Otworzył oczy.

- Panno Ito, proszę sprowadzić bryczkę. Obawiam się, że nie zajdę.

- A jak... jak pan tu zostanie?

- To niedługo. Niech się pani nie lęka... Tylko prędzej, bo mnie bardzo boli - dodał ciszej.

Ita skoczyła na konia i w parę minut dojechała do celu.

Ale w domu nie zastała nikogo. Bryczki nie było, woźnica gdzie się ulotnił. Nieprzytomnie biegała po podwórzu. Wydostała wreszcie z wozowni stary gruchot, linijkę. Zaprzęła swego wierzchowca i, waląc go batem, gnała z trzaskiem i zgrzytem do Witolda. Z trudem usadowiła go na linijce.

Wolniutko, krok za krokiem wracali. Witold uśmiechał się blado. Widział rozpacz dziewczyny i w jej ogromie utopił swój żal i niechęć.

- Ładna z pani nauczycielka konnej jazdy - próbował żartować. - Niech się pani nie przejmuje... poboli i przestanie.

- Milczałby pan lepiej - rzuciła z oczyma pełnymi łez.

Gdy stanęli przed bramą, natknęli się na praktykantów wracających z kancelarii.

- Co się stało? - pytali zdumieni.

- Nic, głupstwo! Spadłem z konia. Pomóżcie mi, panowie, dostać się na górę.

Chwycili go pod ręce i, niosąc prawie, zaprowadzili na górę.

Ita tymczasem wpadła do kancelarii i, nie zwracając uwagi na zebranych, krzyknęła:

- Tatusiu! Pan Witold złamał nogę... chodź prędzej!

Kruszyński o mało nie spadł z krzesła.

- Jezus Maria... jakim sposobem?! - Wpadł bez tchu na górę.

Witold leżał już blady i zmęczony.

- Profesorku, pokaż pan nogę... pošlę po felczera... może to nic

groźnego?!

- Zapewne... nie ma się czym niepokoić - mówił Witold.

Noga jednak była sina i spuchnięta.

- Myślę, że to jest tylko wykręcenie stawu... - zaopiniował Kruszyński i zwrócił się do praktykanta: - Kaźcie przynieść lodu, panie Czesławie i poproście tu gajowego Józefa. To majster od takich rzeczy. W mig pomoże.

Z wielką troskliwością pomógł rozebrać się ulubieńcowi. Gdy przyszedł stary gajowy, przygadywał mu:

- Tylko ostrożnie, mój złoty, bo to mieszcuch... jak z jajkiem...

Ita, stojąca pod drzwiami, usłyszała krótki, bolesny krzyk. Zatkaną uszy i uciekła.

A Józef, śmiejąc się, mówił:

- Do wesela nie będzie znaku! Trochę ino trza nodze dać odpoczynku... nie latać ze trzy dni po górach.

- Biedna Ita - pomyślał ze współczuciem Witold.

Do wieczora siedzieli wszyscy w małym pokoiku na górze, otaczając chorego najserdeczniejszą opieką i troskliwością. Posypały się dowcipy i żarty. Brak było tylko Ity, która nawet nie przyszła na kolację.

Gdy Witold został sam, podłożył ręce pod głowę... Zamajaczyły mu z oddali siwe głowy rodziców... Co robią teraz jego staruszkowie? Czy matka załatwi mu sprawunek, o który prosił?

A potem jego myśli opanowała Ita. Nie były to myśli przykre... Widział przecież jej niekłamana rozpacz, łązy gorące, bez wątpienia

szczerze, bo to dziecko natury i samotności nie potrafiło kłamać. Uczucia płynęły w niej jak górskie potoki. Przypomniawszy sobie, że, ocknąwszy się z omdlenia, czuł chyba jej pocałunki. Nie była to ułuda.

- A może kocha? - Ale zaraz odrzucił tę myśl niemal z bólem... - Nie, to być nie może... Nie pokocha mnie nigdy prawdziwą kobiecą miłością. - I ze zdziwieniem uczuł tęskny smutek.

Poruszyły się u okna firanki.

- Pewno będzie burza. Wiatr się zrywa - pomyślał.

Na łóżko padł bukiet kwiatów. Ukazała się na moment lśniąca główka.

Usiadł. Kwiaty pachniały mocno. Przytulił do nich twarz... Zgasił lampę, odwrócił się do ściany i zasnął młodym, zdrowym snem. A wtedy od drzewa rosnącego pod oknem oderwała się biała postać. Wdrapała się na okno i zeskoczywszy lekko na podłogę przykucnęła przy łóżku.

Gdy świergot ptaków i promyki słoneczne zbudziły Witolda - był już sam.

Dopiero na trzeci dzień mógł zejść na dół. Noga bolała go jeszcze, ale spieszył się do lekcji.

Gdy znalazł się ze swoją uczennicą w gabinecie, rzekł uśmiechnięty:

- Panno Ito, bardzo dziękuję za rzucane co dzień kwiaty. Jest pani dobra. Dziękuję za tę serdeczność.

- Ee, tam... pan jest lepszy... Pan się już nie gniewa?

- Nie gniewałem się ani przez chwilę.

- Mnie było tak żal, wołałabym sobie oba kulasy połamać.

Mimo woli spojrział na jej małe, śliczne nogi.

- No, Ituś, nie gadaj bredni... Weźmy się do czytania.

Dziewczyna usłuchała pokornie, ale za chwilę podniosła głowę.

- Jak się pan nie gniewa, to niech mnie pan pocałuje.

Trudno opisać zakłopotanie Witolda.

- Nie chce pan? Przecież ja nie parszywa!

Wziął w obie ręce jej kędzierzawą główkę i wpatrzył się w szafirowe tonie oczu... Jakież były teraz cudowne, jakie czyste. Zamknęły się przy pocałunku sennie... Witold uczył zawrót głowy.

- Czytajmy dalej, Ituś - rzekł drżącym głosem.

- Dobrze! Teraz już panu wierzę.

Po lekcji zaś oświadczyła:

- Dziś pójdę sama na spacer.

- Czemu?

- Bo chcę!

Nie oponował, bo i noga go bolała, i pragnął samotności... Gdy dziewczyna zniknęła za furtką, usiadł w cieniu pachnących żywicą świerków i starał się uspokoić trzepocące myśli.

- Przecież ja kocham tę małą!

- wykrzyknął nagle. - Kocham ją!

- Uśmiech radosny musnął mu twarz, lecz przygasł zaraz, gdy przyszły męczące myśli:

- Ale ona... ona przecież najwidoczniej przywiązała się do mnie



tylko tak jak do poczciwej ciotki... Duszę zbudziłeś, ale serce w dziewczynie śpi.

Syknął niecierpliwie i poszedł malować.

A Ita tymczasem błądziła wśród zarośli. Nie umiała określić, co jej jest. Wiedziała tylko, że gdyby belfer kazał jej skoczyć w ogień - toby skoczyła. Chciała się oderwać od tej przedziwnej mocy, która biła od niego. Bała się i szamotała się jeszcze z tym niezwykłym u niej pragnieniem uległości. Powoli ogarniała ją świadomość, że to jest jej... kochany belfer. Odkryła też ze zdziwieniem, że kochany nie tak jak Antek, lecz jakoś inaczej, mocniej.

Biedna dzika dziewczyno! Oczywiście, że „inaczej” i „mocniej”.

Znów płynęły dni. Ita z każdym z nich zmieniała się na lepsze. Głos jej stracił ordynarne podzwęki. Ruchy i zachowanie były miłsze, no i... spokojniejsze. Wobec Witolda coraz częściej rumieniła się i spuszczała oczy.

Nadeszła śliczna, słoneczna niedziela. Rano do altanki zapukał Witold.

- Ituś, mogę wejść?

- No! - zabrzmiało zachęcająco jej przyzwolenie.

Siedziała, jak zwykle, na stole karmiąc swe kocięta i pieski. Koszulkę miała rozchełstaną na piersiach, a w krótką, czerwoną, pasiastą spódniczkę zagarnęła maluchy i odstawiła do kąta.

- Ituś! Jedziemy do kościoła!

- Zgłupiał pan, czy co? - Zaskoczenie przywołało nieuprzejmą reakcję.

- Nie. Proszę zaraz przyjść do mego pokoju! - powiedział nie zwracając uwagi na jej słowa. Z oczu biła mu niepoohamowana radość.

- Niech pan tam poczeka! Ubiorę się i przyjdę.

W małych drzwiach altanki otarła się o niego. Ach! Jaką szaloną miał ochotę przytrzymać ją. Podążył na górę i czekał. Wkrótce zjawiała się panienka, przebrana w jakąś sukienczynę. Stała oniemiała. Na łóżku leżała śliczna biała sukienka, kapelusz, pantofelki i pończoszki. Podłoga zarzucona była papierami.

- Pani widzi? Przycisnęła ręce do piersi, bez słowa.

- Niech pani to zabierze do siebie i proszę się ubrać.

Ita spojrzała na niego jak na wariata.

- Panno Ito! Ojczulek pani dał mi pieniądze, a matka moja załatwiła ten sprawunek w Warszawie... Dziś rano przywiózł wójt paczkę. To dla pani! Pojedziemy do kościoła.

Ita wydała dziki okrzyk i nagle uklękła przed Witoldem, obejmując go za nogi. Widocznie biedactwo widziało gdzieś taką scenę i powtórzyło ją dokładnie, tylko na pewno znalazło się tu więcej serca.

Witold oblał się rumieńcem i chwycił dziewczynę w ramiona.

- Ita... Ita... Co robisz...! - Uklęła go jednak myśl jakaś, bo opuścił ręce i rzekł niby spokojnie:

- No, królewno... Czas ubierać się.

Bez namysłu zrzuciła sukienkę. Witold zrobił dyskretny zwrot w tył i bardzo zmieszany obserwował jaskółki.

- Nie umiem zapiąć - pisnęło coś za nim żałośnie.

Cóż było robić? Drżącymi palcami zapinał suknię, włożył starannie pantofelki. Prosił o numer trzydziesty czwarty, matka przysłała trzydziesty piąty na wszelki wypadek i... dobrze zrobiła. Nóżka Ity, choć mała, przywykła do bosego chodzenia, z trudem wcisnęła się w śliczny pantofelek.

Ita, odsłoniwszy nogi do kolan, przypatrywała się im z zachwytem. Nie bardzo jej było wygodnie w pantofelkach, ale skoro takie śliczne... W dziewczynie ocknęła się Ewa, więc nawet ból zniosłaby teraz z uśmiechem.

- Kapelusik, jaśnie panienko, ale wpierw trzeba uporządkować włosy.

Z poważną miną swym własnym kawalerskim grzebieniem począł manipulować koło jedwabistych loków. Ita syczała, piszczała, ale nie ruszyła głową. Wreszcie fryzura jako tako uładzona, zadowolili mistrza ceremonii. Nałożył jej kapelusik.

- Niech pani wejdzie na krzesło.

Odszedł parę kroków. Twarz promieniała mu szczerym, radosnym zachwytem.

- Pani jest cudna... cudna... cudna!

Puszyste ciemne rzęsy rzuciły cień na słodką opaloną twarzyczkę.

- A teraz lekcja chodzenia i dobrego tonu.

Całą godzinę trwała nauka. Czoło dziewczyny pokryły kropelki potu, ale była posłuszna i milczała.

Dzwonek wzywał na śniadanie. Wolno zeszli ze schodów.

Przebiegająca w tej samej chwili przez hall ze szczotką w ręku Kasia stanęła. Oczy... usta... nos... nawet szczotka przybrały wyraz najgłębszego zdumienia. Wreszcie dziewczyna pomknęła do kuchni, stukając zawzięcie trepami.

Witold wybiegł do ogrodu i zerwał trzy śliczne, tonem różowych koralu rozwinięte róże i przypiął do białej sukienki.

- Tak, a teraz idziemy do jadalni. Tylko, panno Ito, błagam! Spokojnie! Na pytania i ewentualne zaczepki odpowiadać najlepiej uśmiechem... panno Ituško!

Kiwnęła głową.

Weszli do jadalni. Zebrani przy stole zerwali się z miejsc i stali jak wykrzykniki i znak zapytania.

- Pani siada przy Antku czy przy ojcu? - spytał spokojnie Witold.

- Przy panu - szepnęła. Jeszcze chwila milczenia, a potem gwar, szum zapytań, wykrzykników! Lutek i Mieczysław gradem słów chcieli zasypać zmieszanie. Antek milczał zarumieniony, praktykanci hałaśliwie objawiali zachwyty... Pan Kruszyński był wzruszony.

W drzwiach i oknach sterczały śmiesznie zapatrzona twarze służby folwarcznej.

- Jedziemy więc dziś do kościoła, tatusiu - rzekł wreszcie Antek.

- Każę przyszykować powóz - odparł Kruszyński i wyszedł z pokoju. Wydawszy rozporządzenie, stanął przed portretem żony. Tak znaleźli go, zapatrzona, wychodzący z jadalni.

Kruszyński wziął Witolda pod rękę.

- Niech pan spojrzy, jaka podobna do nieboszczki.

Istotnie, dziewczyna była wiernym wizerunkiem zmarłej, nieco młodszym. Tylko cera matki przypominała płatki róży, a córki wabiła ciemną jak u Cyganczki karnacją. Twarzyczkę też miała bardziej okrągłą i żywą.

- Czym się panu odwdzięczę? Nikt dla tego dziecka nie zrobił tyle co pan, nawet ja, ojciec... Gdyby nie pańska szlachetna myśl, czy miałyby dziś taką przyjemność... Wstyd mi, że obarczyliśmy pańską matkę załatwianiem sprawunków, kłopotem przesyłki.

- Nie mówmy o tym, proszę pana.

- Ale ja nie mogę tego zamilczeć...

- Proszę pana... doprawdy nie ma o czym mówić.

Stary uściskał Witolda mocno.

- Mój ty serdeczny chłopaku - szepnął.

Wyświeżony, czysty i błyszczący stanął powóz przed gankiem.

Witold z galanterią podał rękę Icie, która miała zabawną minkę jadącego na bal Kopciuszka. Obok niej usadowił się w powozie ojciec. Na przednim siedzeniu Lutek i Mieczysław. Witold z Antkiem i praktykantami mieli jechać bryczką. Taka była propozycja nauczyciela i nikt się nie sprzeciwiał... Ita otworzyła już usta, ale spotkawszy gorący, błagalny wzrok młodzieńca, spuściła głowę i zaczęła przeglądać nową książeczkę do nabożeństwa. Na pierwszej stronie był napis: „Nieznanej, a kochanej dziewczynce - Matka Witolda”.

Dziewczyna nieznacznie przyłożyła tam usta, ale Witold ten

ruch zauważył.

Konie ruszyły. Do kościoła było kawał drogi. Ita dotkliwie odczuwała nieobecność belfra, ale milczała, bojąc się wybuchnąć złością. Bracia i ojciec patrzyli na nią ze szczerym zachwytem.

- Zadowolona jesteś, córeczko?

- Tak, tatusiu.

- Podziękowałaś panu Witoldowi?

- Tak, tatusiu. - Pomyślała w tej chwili: - Chyba jestem teraz dobrze wychowana.

Wreszcie stanęli przed kościołem. Itę ogarnął paniczny lęk. Przez moment chciała gdzieś uciekać, do powozu jednak już podszedł Witold i, podając uczennicy rękę, szepnął:

- Maleńka, spokojnie, spokojnie... Proszę wziąć ojca pod rękę.

Uśluhała, ale szła jakby przez morze płomieni. Setki oczu oblazły ją niby mrówki... A okoliczna inteligencja, obywatelstwo, zresztą i chłopci patrzyli zdziwieni. Kruszyński był z córką pierwszy raz w kościele. Niektórzy chłopci, znający Itę, rozdziawiali oczy i usta z niemym zdumieniem.

- Odmieniło ją czy co? - myśleli.

- A może do ślubu z tym młodym? - szeptali.

Kruszyńscy usiedli tuż przy ołtarzu. Zagrały organy. Uroczysty, święty spokój kołysał serce Ity, do oczu spłynęły perełki łez i spadły na książkę. Te dwie czyste łezki były dla Witolda jak srebrne pocałunki najgłębszej wdzięczności. Czuł się szczęśliwy dobrym, spokojnym szczęściem, jakie przynosi szlachetny czyn.

Nabożeństwo się skończyło. Zbita fala kolorowych głów kołysała się w kierunku głównych drzwi. Towarzystwo z Kruszelnicy, obywatele i inteligencja wyszli przez zakrystię. Ita wpiła silne paluszki w ramię ojca i niespokojnie szukała oczami Witolda. Przesłał jej z daleka uśmiech spokojny, serdeczny, poważny. Wkoło kościoła stały już grupki. Okrzyki powitania, szepty. Tu się szukały i gubiły spojrzenia i uśmieszki, tu się rozbierało i ubierało bliźnich, tu była szlifiernia języczków i kopalnia nowinek. Dziś sensacją dnia był Kruszyński.

- Czyżby ta piękna panienka była córką Józefa...? - zastanawiał się pan Radomski, właściciel dużego folwarku i trzech dorosłych córek.

- Także koncept... Ta jego córka to podobno jakieś niesamowite stworzenie - odparła żona.

- A ja ci mówię, Tosiu, że to córka. Przecież patrz, jakie podobieństwo do nieboszczki Kruszyńskiej...

- Gdyby nawet córka - nie widzę wcale piękności... Twarz ciemna jak u cyganichy...

- Tosieńko, gdzież masz oczy? Przecież to buzia jak z obrazka.

- E... są różne gusta - wzruszyła ramionami. - Spójrz, idą tutaj.

Do tęgiej czerwonej twarzy pani przykleił się słodki uśmieszek. Radomski pospieszył naprzód, mówiąc:

- Witam serdecznie, panie Józefie... Zrobiliście dziś nie lada sensację.

- Ja się sam dziwię - odparł z uśmiechem Kruszyński. -

Przedstawiam państwu moją jedynaczkę.

Radomski patrzył z zadowoleniem.

- Tylko w ramki, jak mą Tosię szanuję... Tylko w ramki.

Zaś mama Radomska rozłożyła krótkie ramiona i wyglądała w tej chwili jak drogowskaz.

- Bardzo mi przyjemnie, kochane dziecko... - mówiła słodkim głosem. - Bardzo miło... Luciu! Maniu! Isiu! Zapoznajcie się - wołała na córki, trzy okrągłe, klockowate panny.

Ita dygała dość zgrabnie i podawała nieśmiało brunatną rączkę, ale usta jej drgały, gdyż miała wściekłą ochotę wybuchnąć śmiechem. Bawiła ją nieznaną sytuacją. Komiczna nad wyraz wydawała się pulchna mama.

Panowie rozmawiali na uboczu o swych interesach, a Itę otoczyły mama i siostry Radomskie.

- Kto pani uszył taką śliczną toaletę? - spytała jedna.

- Nie wiem, proszę pani - odpowiedziała szczerze.

Panny spojrzały po sobie.

- Jak to? Przecież pani musiała mierzyć - wykrzyknęła mama.

- Nie, proszę pani.

- Ach... to pewnie kupiona gotowa.

- Pewnie, proszę pani.

- A gdzie? Bardzo jestem ciekawa.

- Nie wiem, proszę pani. Siostry Radomskie zagryzły usta, ale z oczu sypały się im iskry rozbawienia.

- Tatuś pani ją sprawił? - zapytała najmłodsza latorośl.



- Nie, proszę pani. Pan Witold... - nie dokończyła, bo cztery pary oczu zaczęły się robić okrągłe... okrągłe... Spoglądały teraz na nią cztery pary jasnoniebieskich kólek.

- Czego one się tak dziwią? Przecież prawdę mówię... Tatuś dał forszę, a pan Witold sprawił - myślała Ita.

Pan Kruszyński dosłyszał snadź epilog rozmowy, bo zaczął się żegnać pospiesznie. Ze strony panienek znów dyg... dyg - nieskończoną ilość razy.

- Niechże nas państwo odwiedzą! - wołała słodziutko mama.

- Panie Józefie kochany, będziemy serdecznie radzi - uzupełniał Radomski.

Kruszyński zdążył w stronę powozu, mówiąc szeptem:

- Ituś, kochanie, co ty za głupstwa pleciesz, że ci pan Witold sprawił... Bój się Boga!

- A bo co? Nieprawda? Naprzeciwno wyrósł nagle właściciel tartaku, Rosowski, w towarzystwie kilku starszych panów.

- Panie Józefie, proszę nie uciekać, pokażcie nam swą jedynaczkę!

Znów śliczne, coraz zgrabniejsze dygi i rumieńce. Ach, jakież rumieńce! Ita jednak rozpaczliwie szuka Witolda. Ten stoi niedaleko razem z jej braćmi i paru młodymi ludźmi. Widać też panięskie kapelusze. Całe grono śmieje się wesoło i swobodnie.

A tu biedna dziczka słucha tysiąca rzeczy, których prawie nie rozumie. Serce bije na trwogę. Milczy, bo cóż ma do powiedzenia, i obserwuje. Rosowski robi na niej przyjemne wrażenie. Jest poważny i

oczy ma podobne do Witoldowych.

- Patrzcie, państwo! - Dziwi się kiwając głową doktor, dawny serdeczny przyjaciel Kruszyńskiego. - Niedawno to fikało nogami w poduszce, a teraz jaka pannica!

- Bardzo jestem rad, że ojciec nam panią pokazał... Myślę, że zostaniecie z moją Janką przyjaciółkami, zaraz ją tu sprowadzę - rzekł Rosowski i podszedł do młodzieży. Po chwili wrócił w towarzystwie córki. Była to wysoka blondynka o białoróżowej zalotnej twarzy.

Dobrze ubrana, bardzo elegancka i pewna siebie. Typowa belle femme.

- Janeczko, oto panna Kruszyńska, zaopiekuj się nią, dziecinko. Ita, a... przepraszam... panna Ita jest pierwszy raz w tutejszym towarzystwie.

Skrzyżowały się spojrzenia panien. Janeczka miała nieco kwaśny uśmiech i mierzyła drobną figurkę Ity chłodnym, dumnym wzrokiem. Wyciągnęła rękę.

- Bardzo mi przyjemnie. Teraz pewno będziemy widywać się częściej...

Ita podniosła swe szafirowo błyszczące oczy.

- Tak, proszę pani... pewno. Pan Józef, drżąc ze strachu, by Ita nie palnęła jakiego głupstwa, zaczął się zbierać do odejścia.

- Co? Jedziesz? Nic podobnego! Idziecie do mnie na obiad - krzyknął doktor.

- Tatusiu! Do domu...! - szepnęła dość głośno Ita.

- Aaa... wobec takiego argumentu zamilkłem - ukłonił się doktor.

Pożegnanie. W tej właśnie chwili podeszli młodzi Kruszyńscy z Witoldem. Całowali pannę Janeczkę w rękę. Ona robiła słodkie oczy do nich wszystkich, ale szczególnie przeciągle patrzyła na Witolda, który nie pocałował podanej sobie dłoni, tylko uścisnął ją i skłonił się chłodno, lecz grzecznie.

- Więc czekam panów jutro. Wycieczka na pewno będzie bardzo miła... Przyjedzie baronówna z bratem, więc musi się udać zabawa. Pan Witold też nie zrobi zawodu, prawda? - mówiła przymilnie Janeczka.

- Nie obiecuję, proszę pani...

- Ach! Panna Ita będzie tak dobra i da panu urlop, nieprawdaż?

- Nie, proszę pani! - wypaliła panna Ita.

Janeczka zbladła. Bracia spojrzeli piorunująco na dziewczynę, a Witold zagryzł wargi, żeby się nie roześmiać. Rozstawszy się w nieco gorszym nastroju, w milczeniu szli do powozu.

W tejże chwili doktor chwycił Kruszyńskiego za rękę.

- Józef! Chociaż ty zostań na partyjkę. Niech młodzi sami jadą! Nie upierajże się.

W końcu Witold usiadł w powozie na miejscu Kruszyńskiego. Ita wsunęła mu rękę pod ramię i przytuliła się lekko.

- Jak śmiałaś być tak ordynarna dla panny Janeczki - wybuchnął złością Lutek.

- Wiesz gdzie ja mam twoją Janeczkę?

Ale na szczęście Witold uprzedził prawdopodobnie dosadne określenie miejsca, mówiąc szybko:

- Panna Ita zrobiła dobrze. Z jakiej racji ta panna rozporządza moją osobą?

- Pan jest mój tylko, prawda? - szepnęła uradowana winowajczyni.

Witold pogładził jej rękę uspokajająco i potwierdził:

- Tylko pani!

Bracia popatrzyli na siebie i chcieli coś powiedzieć, ale Witek mrugnął porozumiewawczo i zamilkli.

Przy obiedzie Ita spytała:

- Czy mogę zdjąć pantofelki? Tak mnie już nogi bołą!

Praktykanci i bracia parsknęli śmiechem, tylko Witold kiwnął głową w stronę uczennicy.

W jednej chwili pantofelki znalazły się na stole, pieczołowicie obok talerza ustawione... i tak pozostały do końca obiadu.

- Panno Ito, gdzie się dziś wybierzemy?

- Na cmentarz. Tam jest moja mama. Muszę jej pokazać sukienkę. Ja tam do niej prawie co dzień wpierw latałam, żeby jej smutno nie było. Żeby to mogła ożyć... mój Boże!

Witold uczuł bolesny skurcz serca.

Cmentarz był nieduży, ale ślicznie zadrzewiony i utrzymany w porządku. Ita uklękła przy grobie i, pochyliwszy niziutko głowę, coś szeptała. Gdy się podniosła, miała usteczka żałośnie wygięte i oczy srebrne od łez.

- Niech pan mamie powie, że jestem już lepsza - rzekła cicho.

Witold ukląkł i chwilę trwał nieruchomo.

### ROZDZIAŁ III

Panna Janeczka Rosowska stała przed lustrem i, wyginając swą pełną, mocną figurę, krytycznym okiem badała nową suknię. Przy jej oczach jak niebieska porcelana, przy bielutkiej cerze i złotych włosach szafirowy jedwab był wymarzony.

Panna Janeczka uśmiechnęła się tryumfalnie. Zapewne żadna z panien nie będzie miała większego powodzenia. To była najważniejsza kwestia ją nurtująca.

Na pensji przechodziła z klasy do klasy, ciesząc się sympatią przełożonych. Ojciec przecież miał tartak i trzy, cztery razy do roku wielkie paki prezentów przełożonej przysyłał.

Wakacje spędzała w domu. Letników zjeżdżało tu dość dużo i Janeczka na brak towarzystwa uskarżać się nie mogła. Matka uważała jedynaczkę za ósmy cud świata, a zapracowany ojciec słuchał matczynych sprawozdań... Widział córkę zawsze wesołą i roześmianą. Kochał ją zresztą bardzo.

Janeczka rok wcześniej skończyła pensję i nosiła się z zamiarem wstąpienia na uniwersytet.

- Tam będę używać - myślała. Rozczuleni rodzice nie oponowali.

- Jakże ta mała ma zamiłowanie do pracy - mówiła zachwycona mama.

- Doprawdy? Chyba po mnie to odziedziczyła - cieszył się ojciec.

Tymczasem Janeczka flirtowała na zabój z oficerami tutejszego

garnizonu i z sąsiadami. Latem zaś używała sobie na przyjezdnych mieszczuchach.

Kokietowała umiejętnie i wyrafinowanie. Jednych czarowała poważnym wyrazem twarzy i niedostępnością, drugich ujarzmiła trzpiotowatą, naiwną minką... Potrafiła nawet przybrać pozę kobiety demonicznej lub doświadczonej. Synowie Kruszyńskiego, Mietek i Lutek, byli jej stałymi adoratorami. Tylko Antek okazał się oporny - jak mówiła. Zawsze więc asystowała jej złota młodzież miasteczka.

Janeczka posiadała jeszcze umiejętność dobierania przyjaciółek. Otaczała się zawsze brzydszymi od siebie i dlatego wyrobiła sobie markę najpiękniejszej panny w Skolu i okolicy.

Teraz, szlifując wypielęgnowane paznokietki, myślała o Witoldzie. Podobał jej się niezmiernie. Pociągało ją także i to, że był artystą. Liczyła, iż będzie miała swój portret. Pewna siły swych wdzięków uważała, że i na jego obojętność rada się znajdzie.

Na wspomnienie Ity przez białoróżową twarz przemknął zły grymas.

- Poczekaj, i na ciebie znajdę sposób... - pomyślała rozdrażniona.

Zaturkotała bryczka. Janeczka skoczyła raz jeszcze do lustra. Za chwilę do salonu weszli bracia Kruszyńscy.

- Jesteśmy, widzę, jak pierwsze jaskółki... - mówił Mietek, całując białą rączkę.

- Dostanie pan w nagrodę wstążkę od sukienki.

- A ja co...? - udawał żal Lutek.

- A pan kwiatek.

- Wolałbym inną nagrodę... Słowo daję! Pędziłem konie jak wariat - a tu ofiarują kwiatek.

- Ale ten z moich włosów! O! Proszę zaraz pocałować... Panie Antoni, pan nie żąda nagrody?

- Nie, pani, gdybym jej pragnął, wziąłbym bez pytania.

- Cóż za pewność siebie, ale gdzie to pan Witold?

- Został przy swej bogdanie - zaśmiał się Mieczysław.

- Ach tak? - Zacięła wargi. - No, wiesz! Myślę, że my zabawimy się lepiej. Panna Ita jest jeszcze bardzo... dziecinna.

- Z panią, panno Janeczko, zabawa musi być rozkoszna - skłonili się chłopcy z galanterią. Antek jednak zauważył:

- Przyjaciel mój spełnia obowiązek, który zresztą nie jest dlań taki przykry...

Całe szczęście, że do salonu zaczęła napływać młodzież, gdyż Janeczka już, już wybuchnęła niezadowoleniem.

Przybyły i trzy klockowate siostry Radomskie. Wreszcie zjawili się młodzi Ziemsy - baronówna Ela, nieładna, ale miła i bardzo inteligentna, oraz brat jej, przystojny, typowy lalusz wielkowiejski.

Janeczka, wniebowzięta, co chwila zerknęła w lusterko. Istotnie, królowała urodą. Baronek nadszarpnął jej zawzięcie, co ją niepomniernie uszczęśliwiał... Przecież to taka świetna partia.

Wśród wesołych okrzyków młodzież gramoliła się na wielki drabiniasty wóz, który miał ich podwieźć do stóp góry Paraszki. Stamtąd zaś postanowili maszerować na szczyt. Było już po jedenastej. Młodzi posuwali się niezbyt prędko. Na przodzie szła

wytrwała baronówna. Nagle stanęła...

- Cicho... Tam jakaś młoda para, nie trzeba im przeszkadzać. Ominiemy ich... - rzekła z uśmiechem, dziwnie upiększającym nieładną twarzyczkę.

Ale wycieczkowicze jeden przez drugiego poczęli się wspinać i wychylać, starając się zaspokoić ciekawość.

Tuż przed nimi za gęstą zasłoną krzewów, nad małym potoczkiem siedziała Ita, zanurzywszy stopy w wodzie. Różowa, perkalowa sukienka tylko do kolan i wianek z wielkich żółtych kwiatów na powichrzonych włosach stroiły ją, przydając dziwnego uroku. Robiła wrażenie małej Indianki. Tuż przy niej na kamieniu siedział Witold i szkicował zaszuchaną w jego opowiadanie dziewczynę. Janeczka zbladła, przeczuwając, że coś jej wymyka się z rąk... Nie umiała określić swoich doznań, ale były to uczucia przykre i wywoływały złość.

- Chodźmy dalej... Nie trzeba przeszkadzać - zwróciła się i ona do Ziemskiego, który stał z odchyłoną głową i otwartymi ustami.

- Ależ to piękna dziewczyna... Co za nogi! Co za nóżki! Jak Boga kocham, posążek. Ajajaj! Palce lizać!

Bracia Kruszyńscy tłumili śmiech, ale milczeli.

Nagle Ita spojrzała w stronę, skąd dochodził szum głosów i, krzyknąwszy przeraźliwie, dała susa w krzaki. Witold podniósł głowę przestraszony. Towarzystwo śmiało się już głośno.

- Witek! Chodź do nas! - wołali Kruszyńscy.

- Panie Witoldzie! Prosimy! Wysyłając w głębi duszy grono



natrętów do diabła, podszedł się przywitać. Nagle wykrzyknął radośnie:

- Panno Elu! Jakaż niespodzianka!

- Ano... Góra z górą... - rzekła wesoło baronówna. - Widać nić sympatii rzuciła nas tu sobie w ramiona - żartowała dalej.

- Państwo się znacie? - W głosie Janeczki było zdumienie.

- Ze szkoły malarskiej... Pan Witold pomagał profesorom stawiać mi dobre oceny.

W myśli Janeczki przemknęła błyskawica projektu.

- Jacy państwo szczęśliwi! Ja też trochę maluję, ale ponieważ nie mam dobrego kierunku, więc powoli to zrzucam - stwierdziła z żalem.

- Powinna pani wstąpić do jakiejś szkoły.

- Nie wiem, czy rodzice się zgodzą.

- Już ja ich uproszę - oznajmiła energicznie Ela.

Witold rozmawiał jeszcze chwilę i zaczął się żegnać.

- Idę do swej uczennicy. Nie mam naprawdę czasu - odpowiedział chcącym go zatrzymać.

Janeczka wycisnęła z siebie uśmiech, a Ela dodała:

- Proszę pozdrowić tę śliczną panienkę ode mnie, dobrze?

Antek spojrzał na śniadą twarzyczkę baronówny z sympatią, a jej brat pośpieszył dodać:

- I ode mnie, panie szanowny. Koniecznie!

- I od nas, i od nas! - wołali inni na wyścigi.

Mietek i Lutek spoglądali na siebie. Wreszcie Mietek szepnął:

- Akcje Ity nabierają wartości. Po odejściu Witolda bracia zostali zasypani pytaniami, dotyczącymi Ity. Siostry Radomskie informowały szeptem resztę panien:

- Ten Witold kupił jej sukienkę.

- Siostrzyczka panów jest naprawdę zdecydowaną piękną - dowodził baronek. - Przypomina trochę Cyganczkę i Włoszkę.

- Może być, ale jest też zdecydowanie dzika, jak mieliście państwo sposobność zauważyć.

- Pan Witold pewno zdoła okrzesać dzikuska - rzekła miodowym głosem Janka, którą dusiła nienawiść do tej „chamki”.

- O, o, to chyba dużo jeszcze wody upłynie - śmieli się bracia z wyjątkiem Antka. Ten bowiem rozmawiał z Elą półgłosem. Oboje byli ożywieni. Antek nawet śmiał się, co irytowało Janeczkę, zwłaszcza gdy zobaczyła, że ten „oporny” względem niej chłopak całuje Elę w rękę jakoś tak bez powodu. W dalszej drodze stale szła przed baronkiem, chcąc pokazać, że i ona ma nogi „jak posążek”.

A Witold, wyciągnąwszy uczennicę z krzaków, perorował:

- Panno Ito, niech pani nigdy nie ucieka przed ludźmi, jak to brzydko, fe!

- Mnie wstyd... i strach!

- Czego? Pani musi być sobą. Kto zrobił już krok na właściwej drodze, to, choćby najbardziej ciernista była, powinien iść naprzód... Pani mnie rozumie?

- A pan nie woli nikogo od Ity?

- Nikogo!

- I tej baronówny!

- To jest bardzo miła i dobra panienska. Chciałbym, żebyście się poznały, ale dla mnie jest tylko sympatyczną koleżanką.

- A ja co jestem?

- Pani?... - głos mu drgnął. - Pani jest moją najmiłszą dziewczyną.

- Naprawdę? O, jak to dobrze!

- Ituś! - chwycił jej rękę.

- Co?

- Nic, nic... Pójdziemy do domu. Trzeba jeszcze dziś przerobić parę zadań.

Wieczorem bracia Kruszyńscy zapukali do gabinetu ojca. Usiedli przy biurku zakłopotani. Wreszcie Mieczysław zaczął:

- Tatusiu... my w sprawie Ity.

- Co się znowu stało?

- Młode baronki koniecznie chcą do nas przyjechać... Ita im się tak podobała. Trzeba by pomyśleć o jej ubraniu.

- Gdzież znowu ją widzieli?

- Na spacerze z Witkiem.

- Zaczynam wiedzieć, że mam córkę - mówił radośnie Kruszyński. - Sam też czuję się coraz bardziej ojcem... Rozumiem tę przyjemność. Mam nadzieję, że już się nie oddalimy. Ale co zamierzacie? Wypada ich przyjąć.

- Niech tatuś wyasygnuje trochę forsy i może Witold to załatwi?

- Bójcie się Boga! Jak można chłopaka obarczać babskimi

sprawami. Niech który z was jedzie. Dwie przystojne męskie twarze...

- zrobił zabawny grymas.

- Ojcie kochany, ja w tych sprawach jestem jak noworodek - zaoponował Mietek.

- A ja? Boże drogi. - Lutek wznosił oczy w górę. - Przypomnijcie sobie, jak to źle wyszło wtedy pod kościołem.

- Pogadam z Witoldem, ale mi doprawdy głupio... A może, może poprosić którą ze znajomych pań? Chociaż to jeszcze gorzej.

- Któraż by zresztą chciała jechać specjalnie do Lwowa?

- A jednak Witolda obarczać tym nie można - odezwał się Antek, który dotychczas tylko słuchał. - To nieładnie. Nie róbcie z niego niańki... To było dobre raz. Wy swym egoizmem i wygodnictwem się nie zasłaniajcie.

- Bo nie ma rady...

- Owszem! Ja pojedę z Itą - zdecydował Antek.

- Co? Z Itą? Ależ ona cię skompromituje.

- Jakoś nie boję się. Jutro rano wyjeżdżamy.

Kruszyński wyciągnął sześćset złotych.

- Na razie tyle. Więcej nie mam. Należy jej się więcej wprawdzie, dotąd bowiem kosztowała mnie grosze. Dałbym choć z tysiąc, ale muszę poczekać do pierwszego. Folwark nie daje wielkiego dochodu, to zaś, co dostaję od Ziemskiego jako pensję, przeznaczam dla was.

- Niedługo tatusiu - szepnął Antek. - Mietek i Lutek już kończą politechnikę i uniwersytet... A ja sobie zarobię. Na agronomii nie ma

tyle pracy. Tatuś by mógł odpocząć.

- Moje dziecko, ja już odpocznę w grobie... Chciałbym wam folwark zostawić bez długów.

- Alboż ojciec ma długi? - spytał Lutek.

- Tak, synu... trochę dawnych... To znów młockarnię kupiłem w zeszłym roku i żniwiarki. Chcę, by mój mały kawałek ziemi był wzorowy, ale tutejsi ludzie są leniwi... Żydzi ich zepsuli.

- Ja nieraz byłem zdumiony mnogością i bogactwem tutejszych Żydów.

- Ano, chłopci nie znają wartości pieniądza, dają się oszukiwać, ot i wszystko.

Nagle pan Józef przechylił głowę ku drzwiom.

- Ktoś gra na fortepianie - stwierdził nieco zdziwiony Lutek.

Pływały do nich nieśmiałe tony. Kruszyńscy stanęli w drzwiach. Hall pogrążony był w ciemności... Przy fortepianie siedział Witold. Leciuteńko uderzał w klawisze, a spod palców płynęły tony prześlicznej kołysanki Schumanna. Ita siedziała na oknie, ale widział ją tylko Witold. Z daleka w mroku trudno było dojrzeć dziewczynę przylepioną do framugi.

Od szesnastu lat nikt nie grał w tym domu. Ostatni raz zadrzały w hallu echa na dwa tygodnie przed śmiercią pani Kruszyńskiej... A teraz jej mąż stał... i oczy miał zalane łzami. Chłopcy pobiegli myślą w czasy, gdy śliczna kobieta siadała przy fortepianie otoczona dzieciarnią i śpiewała wesołe, zabawne piosenki.

Witold grał teraz „Marzenie” Schumanna. Ita ręką przyciskała

serduszko gwałtownie bijące. Nie wiedziała, co się z nią dzieje... Było jej tak, jak gdyby dusza, mdlejąc ze zmęczenia czy trwogi, gnała w nieznane i cudowne krainy. Coś do niej szło... Obejmowało ją miękkimi, ciepłymi falami. Wstała, podeszła do grającego, przyklękła i położyła mu głowę na kolanach. Witold opuścił ręce... Nagle od progu gabinetu ozwały się błagalne głosy:

- Jeszcze... jeszcze...

- Wstań, Itus - szepnął. Dziewczyna wyprostowała gibką figurkę, a już Kruszyński obejmował Witolda:

- Nie wiedziałem, że pan gra... Szesnaście lat nie słyszałem w tym domu muzyki... Niechże pan uraczy nas dzisiaj, mój drogi.

- Naprawdę, dziś już nie mogę, ale za to jutro przyrzekam uroczyście.

Nie nalegali więcej, on też zaraz poszedł do siebie na górę. Usiadł przy stole. Ciemno tu było. Akacje zalewały pokój niepokojącą wonią...

- Kocham ją! Kocham ją! - zawołał prawie bezgłośnie, przycisnąwszy ręce do czoła.

Skrzypnęły cicho drzwi i smukłe, ciepłe ramiona oplótły młodzieńca.

- Proszę pana, mnie jest tak dziwnie... Tak smutno... Niech pan mnie ucałuje. Ja pana tak strasznie, okropnie kocham.

- Ita, mój ptaszku złoty - szepnął Witold, przytuliwszy ją z całej mocy. Mógłby krzyknąć, bo była w nim siła jakaś, co parła się w świat. Wicher zawrotny rozszalał się w młodzieńczej krwi... Nagle

przypomniął sobie słowa listu matczynego:

„Gdybyś ją zbałamucił - byłaby to zbrodnia... Bo to dziecko jeszcze”.

Pasował się przez moment z własnym sercem. Wreszcie zdjął ramiona, owijające go ciasno.

- Ituś! Tak nie można, malutka...

- Dlaczego?

- Widzisz, ja jestem obcy mężczyzna. Panience nie wypada tak się zachowywać. To jest... jest nie... - jąkał się, czując, że brak mu słów i głupio mówi.

- Pan nie jest obcy... Ja pana kocham. Ja teraz już wszystko rozumiem. Pan jest dla mnie tak, jak Iwan dla Paraski. Ona do niego chodzi spać, bo go mocno kocha.

- Ituś, pomówimy o tym wszystkim jutro. Zgadzasz się?

Zapalił drżącymi rękami świecę. Ita miała oczy pełne płomieni, pąsowe usta i ciemne rumieńce.

- Pan mi nie wierzy, bo ja jestem głupia, to ja przyjdę jak Paraska, w nocy...

- Ita! Na miłość boską... Nie! Wierzę ci, wierzę ci, ale teraz chodźmy na dół. Zagram, co chcesz... Ita...

Chciał wziąć ją za rękę. Wówczas dziewczyna błysnęła oczami jak szmaragdy i nagle palnęła go z całej siły pięścią w twarz... Wybiegła!

Witold nie spał całą noc. Raz chciał rzucić wszystko i uciekać do Warszawy, to znów chwycił go wściekły żal. Nie mógł opuścić Ity.

Wmawiał w siebie więc, że wszystko przybierze dawniejsze formy. Czuł jednak, że to nieprawda. Ita go kocha, a on popełnił zbrodnię. Rozkochał w sobie dziecko, nie mające pojęcia o życiu... Nie wiedział, co teraz robić!

Wy tłumaczy jej, wyjaśni wszystko. Może dziewczyna go zrozumie. Rzucił się na łóżku... Wyciąłoby te najdroższe oczy, usta, buzię..., ale nie wolno mu! Nie wolno! Nie wolno mu rozbudzać zmysłów dziewczyny. Któż to wie, czy on jest tym wybranym? A może Ita spotka później innego, któremu odda serce z całą świadomością? Mogła go i pokochać, bo był pierwszym człowiekiem, który okazał jej serce, zainteresował się dołą, olśnił wymową, postępowaniem. On to rozszerzył ciasne ramki, w których kręciła się jak dziczka w świecie, gdzie alfą i omegą stały się dla niej Iwany i Paraski... Co dziwnego, że zadrżały młodzieńcze ramiona i świeże, lasem pachnące ciało?

I gdyby się z nią teraz ożenił, czy nie nałożyłby jej najstraszniejszych kajdan? A może później przeklinałaby jego i swoją dolę, i błąd młodości, gdy inny zabrałby serce kobiety?

Ale czy wolno mu teraz zostawić to ufne dziecko i odejść jak złodziej?

- Boże... Boże... - szeptał chłopak. - Co robić? Co robić?

Witold nieraz kochał się „na śmierć” i „na zabój”. Był bardzo przystojny - wysoki, zgrabny, elegancki. Do tego „student” i „malarz”, więc kobiety lgnęły do niego i każda rada była mieć go w gronie wielbicieli nawet na przodującym miejscu.



Nie stronił więc od płci pięknej. Miał flirty i flirciki. Poznał dobrze jasne i ciemne strony wesołego życia, lecz od zepsucia uchronił go wpływ matki, którą ubóstwiał, i praca. Będąc na wydziale humanistycznym, gorliwie studiował literaturę, a mając zdolności krytyczne, chciał iść w tym kierunku. Wiedział bowiem, że malarstwo nie przyniesie mu wielkich zysków, choć bez wątplenia był utalentowany.

A teraz na drodze człowieka, któremu rzucały się na szyję panny i panie „z towarzystwa” - stanęła mała, bosa, rozczochrana dziewczyna... Nawymyślała jak pierwszy lepszy andrus i bez ceremonii w opalone ręce wzięła jego los... Zajęła serce świadome, choć nie zepsute.

I Witold w tę ciemną, rozmodloną wonią noc do końca zrozumiał, że jego najprawdziwszą, największą miłością jest Ita.

I z tej świadomości uczucia zrodziła się moc poniesienia ofiary.

Zasnął nad ranem. Gdy otworzył oczy, był już jasny, wesoły dzień. Ubrał się co tchu i popędził do altanki. Klęknął przed bladą i znów nastroszoną dziewczyną.

- Ituś! Posłuchaj! Kocham cię szczerze i głęboko jak nikogo na świecie... Wiem! I ty kochasz... Dlatego właśnie chcę, by nasza miłość była jak ten poranek jasna i czysta. Widzisz, malutka - mówił, siadając przy niej - my nie możemy kochać się tak jak Iwan i Paraska. Nasza miłość będzie jak muzyka... Przyjdzie czas i będę całował cię, jedyna, i trzymał przy sobie mocno, bliziotko... Zostaniesz moją żoną, maleńka! Ale jeszcze nie teraz. Musisz dojrzeć do tej miłości! Musisz

sama siebie zrozumieć. Zmilkniesz wtedy cała i tylko serce powie: kocham. A teraz to widzisz - i te oczy, i ręce, i kędziory, i usta - wszystko trzepie prędko: kocham... kocham... kocham, a serduszko nie wie, jak jest naprawdę. Musisz przedtem poznać świat i innych ludzi... Tak, będziemy czekać, Ituś!

- A długo to? - szepnęła.

- Nie, kochana! Niedługo!

Po brązowej twarzyczce płynęły łzy.

- Dobrze... Witold wyszedł bardzo wzruszony, ale spokojny.

Gdy Ita dowiedziała się, że ma jechać do miasta, zbladła z wrażenia.

- Ale pan Witold też!

- Ależ naturalnie. Jedziemy rozbijać się we troje.

Panienka ubrała się w odświętny i jedyny w zasadzie strój. Gdy weszła do hallu, gdzie czekali na nią chłopcy, zbliżyła się do ojca i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów objęła go za szyję, serdecznie całując.

Witold pomyślał z bólem:

- Ten pocałunek mógłby być dla mnie przeznaczony.

Konie ruszyły.

- Ita, jedziemy kupować ci wyprawę. Zachowuj się w sklepach grzecznie i spokojnie - uprzedzał Antek.

- Nie potrzebujesz mnie uczyć.

- Ja też nie uczę, ale proszę. Zajechali na stację. Gdy Ita zobaczyła lokomotywę, kurczowo chwyciła oburącz Witolda.

- Nie bój się, Ituś, przecież to martwa maszyna.

- Martwa... ale ryczy i leci!

- Opowiem ci o tym później, teraz śmiało... wchodź!

Znaleźli wygodny przedział. Antek włożył nos w książkę, a Witold tłumaczył uczennicy zasadę parowozu.

- Aha... to trochę podobne do naszej młockarni i żniwiarek, nie?

- Tak, wszystko to maszyny niedawno wynalezione, ale wygodne i obawiać się ich nie trzeba.

- Pan mi narysuj łomoko... lokomotę...?

- Lokomotywę!

- Tak... lo... ko... motywę narysuj...?

- Dobrze, Ito.

- O... o... jak wszystko ucieka... o... o - śmiała się rozbawiona. - Słupy grają w berka... Lecą na złamanie karku. A tu już nie ma gór? A czemu nie ma gór? O, jak tu brzydko - trzepała bez ustanku.

Chłopcy patrzyli na promienną towarzyszkę i nie bronili trąkotać... Tak jej z tym było ślicznie.

- Ta rzeka to Wisła?

- Nie, Wisła tu nie płynie.

- A zobaczymy ją tutaj?

- Nie złotko, gdyż płynie w innej zupełnie stronie.

- Ach! Kiedy ja Wisłę zobaczę...?

- Zobaczysz, siostrzyczko, przyrzekam ci - obiecywał Antek.

Po paru godzinach jazdy wysiedli na stacji we Lwowie. Ita miała wrażenie, że wszystko tu skacze i krzyczy. Nawet wózki z bagażami.

Mrużyła oczy i kulila ramiona. Młodzi wzięli ją w środek.

- Panno Ito, spokojnie!

- Kiedy mi się zdaje, że ja zaraz dostanę kręćka i zacznę skakać.

- Nie ma obawy... Nie bój się.

Wyszli na ulicę, przed każdą niemal wystawą Ita stawała. Podobało jej się wszystko bez wyjątku. Intrygowały afisze. Zajmowały sklepy spożywcze, księgarnie, galanterie. Antek był już trochę zniecierpliwiony. Witold spokojny i uśmiechnięty.

- Witek, jak ja mam kupować bieliznę? Przecież nie mam o tym pojęcia - spytał Antek.

- To są damskie komplety... O nie trzeba prosić. Zresztą, wejdźmy razem.

- Nie krępujesz się? Witold spojrzał zdziwiony...

- Czego?! Panno Ito, wejdziemy. Pani zażąda damskich kompletów. Tylko proszę nie wykrzykiwać i o nic nie pytać.

Weszli.

- Antek, może sobie zafundujesz? - szepnął Witold.

Na ladzie zaszeleściła cała fura koronek, haftów, batystów. Ita otworzyła oczy szeroko i już chciała coś wykrzyknąć, gdy Antek wziął ją za rękę.

- Nie wybieraj, Ituś, bardzo cieniutkich, bo na wieś szkoda. Siostra nigdy nie kupowała sama, więc może pani coś doradzi - zwrócił się do sklepowej, która patrzyła z miłym uśmiechem na zarumienioną panienkę.

- Zapewne pani jedynaczka... Takie rozpieszczone panienki

zwykle nie potrzebują zadawać sobie żadnego trudu. Dostają wszystko do rąk gotowe, świeżutkie. Przypuszczam, że te... są ładne i praktyczne - mówiąc to wskazywała proponowane garnitury. - Ile pani sobie życzy sztuk?

- Sześć - szepnęła Ita. Witold myślał tymczasem z ironią: - Rozpieszczona jedynaczka! Jakie to dla niej trafne określenie.

To samo przemknęło przez myśl i Antkowi.

Gdy wychodzili ze sklepu, Ita nie wytrzymała:

- Wcale nie wiem, jak to się kładzie - zawołała zmartwiona.

I jakże tu było zahamować śmiech?

U szewca panienka o mały włos nie zrobiła awantury. Wyrwała bowiem z taką pasją nogę chłopcu, przymierzającemu pantofelki, że ten zdębiał.

- Ita, nie fikaj nóżką, bo sam święty nie dobierze ci obuwia - strofował brat.

- Ja nie chcę, żeby on mnie za nogę łapał.

W tej chwili poczuła wzrok Witolda i spokojnie pozwoliła przymierzyć dwie pary pantofli.

Gdy znaleźli się na ulicy, Antek wybuchnął:

- Bój się Boga, dziewczyno! Co wyprawiasz! Tak prosiliśmy cię, żebyś zachowaniem nie robiła sensacji.

- To po co mnie w nogę łechta? Nie mogłam wytrzymać.

- Trzeba, panno Ito, znosić wiele niemiłych rzeczy ze spokojem. Wiem, że moja uczennica to potrafi.

W magazynie z sukniami w podziw wprowadziły Itę manekiny,

ale panowała nad sobą.

Wreszcie Antek zaproponował:

- Chodźmy na lody do cukierni. Ita, będziesz grzeczna?

- No, chyba... postaram się.

- Nie ma sensu! Z tymi paczkami? Zostawimy to w przechowalni na dworcu. Do odejścia pociągu mamy dwie godziny.

- Chodźmy pokazać małej „Raławice”.

Projekt był dobry. Zostawiwszy paczki, poszli wolno do ogrodu. Przy każdym przejściu przez ulicę Ita zaciskała zęby i piąstki, mrużyła oczy. Przed każdą większą kamienicą pochylała nerwowo głowę.

Po ciemnych schodkach szli na górne piętro budynku, gdzie znajdowała się „Panorama Raławicka”.

Nie było wcale zwiedzających... Wśród chłodnej, świeżej ciszy szarpnął się przeraźliwy krzyk Ity. Przytuliła się do Witolda.

- Nie bój się... Ita! To tylko namalowane tak jak Mieszko i Dąbrówka... Nie bój się, maleńka, to tylko obraz taki duży...

Podniosła głowę i patrzyła pociemniałymi oczyma, oddychając ciężko... Witold wziął ją pod rękę i prowadził wolniutko wokoło drewnianej bariery. Antek usiadł na ławce i odpoczywał.

- Widzisz, Ituś, to wszystko ciągle w jednym ruchu... To tylko obraz taki wielki... Jednym ze współtwórców tego dzieła był malarz Jan Styka. Teraz wszyscy będą lepiej pamiętali bohaterskie chwile naszych dziejów.

W krótkich, prostych słowach opowiedział uczennicy historię Kościuszki.

- Wiesz, Witek? Tyś powinien zostać nie krytykiem, ale belfrem  
- zawyrokował Antek.

- Kto wie, mój drogi, co mnie czeka. Może nawet i belferka... ale wracajmy. Za pół godziny pociąg. Trzeba jechać tramwajem do dworca.

Dziewczyna, znalazłszy się w domu, dostała silnej gorączki i Witold zmusił ją do pójścia spać.

Nowe wrażenia były zbyt silne dla biedactwa. Rozboliła ją pierwszy raz w życiu głowa. Nieznośny szum w uszach doprowadzał ją do rozpacz. Zaczęła szlochać, krzyczeć. Czuwająca przy niej Kasia musiała o północy budzić Lutka - studenta medycyny. Przybiegł do siostry, dał proszek aspiryny, zimne okłady i poszedł spać.

A Witold do rana chodził pod drzwiami pokoju. Wreszcie wyszła Kasia, zła, bo niewyspana.

- Jak tam panienka?

- Dopiryj usnęła. Diabli ją ta ciągnęli do tych miastuch - zaopiniowała i odeszła.

Kocięta i pieski dopiero po dziesiątej dostały śniadanie, ale Ita była zdrowa i wyspana, choć trochę bledsza niż zwykle. Lekcja przeciągnęła się bardzo długo. Dzień poprzedni nasunął Icie moc zapytań, a Witoldowi moc tematów do opracowania.

W ogóle Ita robiła postępy nadzwyczajne. Świeża pamięć, wrodzona inteligencja, niespracowany umysł były doskonałą rolą i ziarna wiedzy wydawały plon znakomity.

Witold mógł teraz systematycznie zaznajamiać uczennicę z

literaturą, historią i geografią. Przyrodę znała lepiej od niego, praktycznie, teoretyczne wiadomości były zbędne. Matematyką jej nie przeciążał i z radością słuchał trafnych, inteligentnych odpowiedzi. Czytał coraz lepsze wypracowania.

Dziś pod koniec lekcji Ita zaczęła się kręcić.

- Zmęczona jesteś Ituś?

- Nie, ale zaraz przyjdę... coś sobie przypomniałam.

Wpadła do swego pokoju i, zrzuciwszy sukienkę i koszulkę, bo innej bielizny ponad koszulkę nie nosiła, poczęła ze skupieniem końcami palców rozkładać nowo kupione garniturki. Czerwona ze wzruszenia ubrała się w śliczny, ozdobiony koronką komplet, co nie przyszło jej z łatwością. Wciągnęła jasne pończoszki i pantofelki i skacząc pobiegła do lustra stojącego w hallu. Ujrzała śliczną, jak z obrazka wyciętą pannę.

Przez cienki batyst przeświecało złotoróżowe ciało. Smukłe, kształtne nóżki wykonały jakieś nieznane baletowe pas. Potem coraz śmieiej i zręczniejsz wyskakiwały przed lustrem.

- Ita całkiem zniknęła! - Kasia poleciała z raportem do kuchni. - Wymiguje kulasami w portalach jeno, przed lustrem śmieje się... Laboga! Hi, hi, hi.

Ita zaś popędziła już do gabinetu. Witold krzyknął i zmieszał się okropnie.

- Ita, w tej chwili włóż sukienkę!

- Nie będzie widać koronki!

- Ale, Ituś, to wstyd. Czy widziałaś kiedy, żeby panna w



majtkach biegała pośród ludzi?

- Ja nie jestem panna! Ja jestem Ita!

- Ale moja Ita musi włożyć sukienkę.

- E... to już nie będzie tak ślicznie - rzekła nadąsana.

- Zapewniam cię, Ituś, że będzie śliczniej. Włóż tę niebieską.

- Naprawdę?

- Tak. Ja ci to mówię. Usłuchała, ale przysła w sukni rozpiętej i Witold, zacinając zęby, musiał zapinać zatrzaski. Jak blisko miał tę ukochaną dzikuskę, a jak daleko jednak...

- Uczeszysz się do obiadu, Ituś, dobrze?

- Kiedy mnie boli!

- Weź szczotkę.

- Ja nie mam szczotki, ale mamusia miała. Raz weszłam do jej pokoju. Jest zamknięty na fest. Tam tatuś nie da wchodzić. Więc wtedy ja oknem! I tatuś tak wrzeszczał na mnie... ojej! Tam tak ładnie, takie flaszeczki śliczne i obrazki.

- Poproś Kasię, Itula, niech cię uczesze.

- Ale z wstążką?

- Dobrze, niech będzie z wstążką... i zaraz wracaj.

To „zaraz” trwało dobre pół godziny. Wreszcie panna zjawiała się z główką wysmarowaną jakimś tłuszczem. Loki leżały gładko w lśniących skrętach związane z boku kokardą. Kasia okazała się artystką...

- Wspaniale! Niech teraz moja mała usiądzie spokojnie i nie rusza główką.

Szkicował szybko.

- Pan mnie rysuje?

- Tak, a potem będę malował.

- Ojej... będzie obrazek!

- Tak, Ituś!

Kiedy zabrzmiał dzwonek na obiad, panienska wstała i poszła wolno, poważnie. W hallu przed lustrem przycisnęła usteczka do chłodnej tafli.

Minęło znów parę dni. Pan Kruszyński nie mógł ochłonąć z podziwu, co się z jego dzikiej, niesfornej córki zrobiło. Przyjemnie mu było, gdy teraz całowała go na dzień dobry i dobranoc. Miło mu było, gdy ta dziewczyna o świeżej, opalonej na brąz twarzyczce siedziała przy stole trochę sztywno, ale zgrabnie, i szczebiotała radosnym, dźwięcznym głosem.

Witold tymczasem wstawał raniutko i malował Itę ze szkiców. Szło mu to z trudnością. Nie chciał jednak męczyć dziewczyny pozowaniem. Chodziło mu też i o to, by nie dowiedzieli się o niespodziance bracia Ity. Portret miał być dla niej podarkiem urodzinowym na dzień trzeciego sierpnia. Szkicował więc, a w wyobraźni powstawał już obraz pod tytułem „Rusałka”. Nie zapomniał nic z tamtej cudnej, księżycowej nocy i czekał tylko na chwilę natchnienia, by oddać czar i moc czystego piękna.

Któregoś poobiedzia przed bramą zagrała samochodowa trąbka. Z eleganckiego auta wysiadła baronówna Ela z bratem.

Młodzi Kruszyńscy grali w karty na werandzie. Zerwali się i

biegli naprzeciwko.

- Tak mnie mój brat zanudzał, że musiałam go tu przywieźć.

- Bardzo jesteśmy radzi... Niechże państwo pozwolą dalej do pokoju...

- Tu jest bardzo ładnie. Doprawdy, wolę zostać na ganku - protestowała Ela.

- W takim razie może przejdziemy do ogrodu? - zaproponował Mieczysław.

- Gdzie siostrzyczka panów? - nie wytrzymał baronek.

- Przypuszczam, że zaraz nadejdzie to nasze utrapienie.

- Fe, panie Antoni... Takie śliczne dziewczątko, istna boginka leśna - z emfazą sprzeciwił się Janusz.

- Oj... boginka! - stęknął Mietek. - Myślę, że spotka pana rozczarowanie.

Szli przez ogród. Baronek najpierw z braćmi starszymi. Antek natomiast dotrzymywał towarzystwa Eli, która mimo nieładnej twarzyczki podobała mu się bardzo. Miała miękkie, kobiece i zgrabne ruchy, nigdy nie mówiła o nikim ironicznie ani złośliwie... Ubierała się skromnie, ale z gustem. Nie paplała trzy po trzy i nie robiła słodkich oczu, które według wyrażenia Antka, „wywoływały w nim mdłości”. Poznał ją rok temu i widział cztery razy. Ostatni raz wówczas na wycieczce. Wtedy właśnie uzmysłowił sobie różnicę między Elą i Janeczką. Zwycięstwo odniosła Ela.

Teraz szła rozjaśniona tym swoim zniewalającym, nieśmiałym jakby uśmiechem i mówiła:

- Bardzo chcę poznać bliżej pannę Itę. Tak lubię piękne twarzyczki - rzekła trochę smutno.

- Mówiłem już pani na wycieczce, że to jest półdzikie stworzonko. Obawiam się, by nie zrobiła jakiegoś głupstwa.

- Nie. Już ja się postaram. Przecież i ona sierotka tak jak ja. Tylko mnie otaczał sztab guwernantek i nauczycielek, ją - natura.

- Jaka pani dobra.

- E, zaraz dobra... wyrozumiała może tylko bardziej niż inni.

- Właśnie tylko człowiek dobry jest wyrozumiały.

- Albo nieszczęśliwy.

- Czyż pani jest nieszczęśliwa? Bogata, wykształcona...

- I brzydka - przerwała mu bez cienia kokieterii.

- O tym proszę nie wspominać. Uroda to głupstwo.

- A miłość też głupstwo?

- No... nie... ale...

- Widzi pan! A ja chciałabym być kochana, wyjść za mąż i mieć córeczkę. Ale mnie nikt nie kocha.

Antek milczał. W tym momencie z gęstwiny wyłoniła się jasna głowa Witolda.

- Witamy... witamy! Gdzie pan zgubił uczennicę?

- Nie zgubił. Ja jestem. Baronek momentalnie przybrał efektowną pozę i wyraz twarzy, a na ścieżkę wydostał się Witold, ciągnąc mocno zmieszana Itę. Ela podeszła do panienki i, objąwszy ją, ucałowała serdecznie.

- Cieszę się, że mogłam panią poznać. Dawno tego pragnęłam.

Obie jesteście bez matczyki... i pewno będziemy się kochać, prawda?

Ita spojrzała badawczo, uśmiechnęła się i oddała pocałunek.

- Pani mi się podoba. O, daleko więcej niż tamte panny sprzed kościoła - zaopiniowała.

- A widzi pan? - szepnęła Ela do Antka.

- Pani pozwoli się przedstawić... Janusz Ziemiński.

Podawała rączkę grzecznie, ale zaraz wybuchnęła śmiechem.

- Dlaczego się pani śmieje?

- Bo pan jest zupełnie taki jak ten w mieście na wystawie... taka duża lala!

Baronek nie obraził się. Z rozbawieniem powiedział do Mietka:

- Słowo daję, rozkoszna mała. Ela wzięła Itę pod rękę:

- Pani mi teraz pokaże swoje królestwo, a wy zostańcie sami. -

Mimo protestu Janusza panny oddaliły się.

- Będzie mnie pani lubić? To nie szkodzi, że jestem taka nieznośna. Wpierw było jeszcze gorzej, dopiero gdy przyjechał pan Witold, to się polepszyłam. Nie mówię nawet cholera i psia twoja mać, ale to trudno...

- Będziemy często bywać u siebie, dobrze? - zapytała Ela, postanawiając pomóc Witoldowi w wychowaniu dziewczyny. - Możemy przecież mówić sobie po imieniu, dobrze Ituś?

- Tak. Pani ma takie śliczne imię, Ela! Zaraz mi się przypomina to, co pan Witold wczoraj grał. Takie miękkie jak kotek i słodkie jak miód. Chciałabym mieć mamusię. Ja z tatusiem nie bardzo jestem blisko. Zawsze ma czoło zmarszczone i zawsze mówi: - Nie mam

czasu.

- Widzisz, Ituś, ojciec ciężko pracuje... Pomyśl, całutki dzień biega, dogląda, liczy...

Rozmowa szła coraz swobodniej.

Ela dowiedziała się, że Ita zawsze „lubiła ciekąć”, a z dziewczuchami mało gadała, bo nie było o czym. Że tylko z chłopakami grała w kamyki i w berka... Wreszcie uznała, że teraz jest „znacznie mądrzejsza”.

Ale Ela czuła, że ta dziecinnie wyglądająca panienka wtula się w jej serce swą słodką naiwnością i szafirowo - zielonymi ślepkami. Myślała z rozczeniem, że to będzie jej ukochana siostrzyczka i przedmiot troskliwości... A ona tak lubiła opiekować się i poświęcać.

Zadźwięczał gong.

- Ita...! Ita...! Panno Elu! - krzyczał Antek.

Ita ledwo powstrzymała się, by nie odkrzyknąć:

- Nie drzyj się! Prędko dołączyły do reszty towarzystwa.

Przy podwieczorku koło panny Kruszyńskiej usadowił się baronek i patrzył na nią niezmiennie zachwyconym wzrokiem.

- Pani ma śliczne rączki...

- Pan ma też śliczne - odparła, bo chciała być grzeczna, ale komplement został przyjęty wybuchem śmiechu. Ela chichotała bez ceremonii.

- Czemu pani wtedy uciekła? Tak szczerze panią podziwiałem.

- Nie wiem. Coś mnie tak piknęło. Tyle par oczu się gapi - to nieprzyjemnie... no i uciekłam.

- Niechże pani oczu nie spuszcza, proszę spojrzeć na mnie.
- A po co?
- Bo mi się pani oczy podobają.
- To niech pan napisze o nich wiersz jak Słowacki.
- Napiszę, a co dostanę za to?
- Naprawdę? Pan napisze... ojej, to pan poeta. Ja tak chciałam

zobaczyć żywego poetę.

- A da mi pani buziaka?
- Zobaczę...
- Chciałbym z panią zatańczyć...
- Ja nie umiem.
- To ja nauczę...

Ita podskoczyła na krzeselku.

- Tak jak panny na balu? Tak?!
- Tak samo.
- Oj, to zaraz, prędziutko... Pan jest taki miły!

Wszedł Kruszyński. Serdecznie przywitał przybyłych i spojrzał na Itę.

- A cóż to moja panna tak rozbawiona?
- Obiecałem, że będziemy dziś tańczyć.
- Ja już się ofiaruję grać - rzekła Ela, ale Witold zaproponował:
- Nie. Ja zagram, a pani też zatańczy...

Przeszli do hallu. Witold zaczął walca z „Fausta”. Antek tańczył z Ela, bardzo dobrą tancerką. Ita aż buzię otworzyła z zachwytu.

- No, może spróbujemy?! - Baronek objął panienkę i,

przycisnąwszy ją znacznie mocniej niż wymagał taniec, zaczął wirować.

Dziewczynie z początku plątały się nogi. Przystawała. Znów nie wiedziała, co zrobić z tymi jasno obutymi nogami. Parę razy pantofelek zawadził o stopy baronka. Wreszcie złapała rytm i jako tako zaczęła pląsać. Witold grał teraz „Przeznaczenie”. Ita przymknęła oczy, odchyliła w tył głowę. Poddawała się melodii. Pąsowe usta drżały. Tańczyła coraz płynniej, lżej, ale coraz wolniej.

- Niech mnie pan tak nie ściska... ojej!

Janusz zmieszał się trochę. Ela pogroziła mu palcem.

Wreszcie Ita stanęła rozdrażniona.

- Ja już nie chcę tańczyć - oznajmiła.

- A co pani chce?

- Słuchać...

Usiadła w głębokim fotelu. Baronek pożerał ją wzrokiem i owijał kolorowymi mgłami komplementów i słodkich słówek.

Ta prosta, nie znająca zupełnie życia dziewczyna była uderzeniem bicza dla przesyconych zmysłów bawidamka. Postanowił ją zdobyć... i wierzył w pomyślne zakończenie manewrów.

- Ach, niech pan przestanie klekotać... niech pan siedzi spokojnie i słucha muzyki.

- Przy pani nie można spokojnie siedzieć.

- No, to niech pan stanie.

- Pani jest czarujące bobo.

- E... głupi czy co? - krzyknęła zniecierpliwiona i przybiegłszy



do baronówny przytuliła się pieszczotliwie.

- Moja ty mała córeczko. Szkoda, że muszę już jechać, ale za to jutro przyjeżdżam i zabieram cię do siebie.

Przy pożegnaniu baron chciał ucałować rączkę Ity, ale wyrwała mu ją zagniewana.

- No... posz... ojej, zapomniałam! - Wzniosła błagalnie przerażone oczy na Witolda, ale ten uśmiechnął się lekko.

Baronek mówił w drodze do siostry:

- Ta mała ma pieprzyk! Diabli biorą przy niej człowieka. Takiej nie spotkałem jeszcze... Cyganka... Arabka... W każdym razie egzotyczna rasa.

- Proszę cię, Janusz, nie pleć głupstw bez sensu i nie psuj mi dzieciaka...

- Co ty wiesz, zasuszona cnoto - powiedział prawie niegrzecznie.

A Ita przybiegła do pokoju Witolda.

- Proszę pana, czy nie zrobiłam panu dzisiaj żadnej przykrości?

- Nie, Ituś.

- Pan smutny?

- Ale, gdzież tam... Myślę!

- O czym?

- Widzisz, maleńka, to trudno powiedzieć. Aha, podobała ci się panna Ela?

- Tak! Ona zupełnie inna. Tamte panny uśmiechały się do mnie, ale czułam, jakby mnie podgryzały. A jak panna Ela podeszła i ucałowała z takim miłym uśmiechem, to już wiedziałam, że jest dobra.

- Będiesz miała serdeczną przyjaciółkę, Ito.
- A pan jest moim przyjacielem?
- Tak, malutka.
- Dlaczego pan mówi malutka, kiedy ja jestem duża pannica?
- Bo dla mnie zawsze będziesz małą, rozczochraną dziewczynką,

Ito.

- A skąd baron wie, że ja się wpierw wyzywałam?
  - Jak to?
  - Bo powiedział, że mam wyzywające usta.
  - Aha... tak... e... może się domyślił. Zresztą baron lubi czasem pleść od rzeczy i nie trzeba tego wszystkiego brać poważnie.
  - Mnie się też tak zdawało. Chwila milczenia.
  - Ituś, czas już spać.
  - Czy... czy mogę pocałować pana na dobranoc?
  - Lepiej nie, Ituś - rzekł z wysiłkiem. - Lepiej nie.
- Popatrzyła smutnymi oczami.
- Dobranoc!
  - Dobranoc, mój skowronku. - Pożegnał ją z nie skrywaną czułością.

Od razu w pokoju wytworzyła się próżnia bez tej szczupłej dziewczyny. Witolda ogarnął niepokój. Widać, że niedługo otoczy Itę rój bezmyślnych bawidamków. Gorącymi oddechami owioną ten kwiat, który straci świeżość i woń... Chociaż, jeśli naprawdę kocha, zostanie małą, słodką Itą.

Jeśli naprawdę kocha....

## ROZDZIAŁ IV

Baronówna była teraz częstym gościem w Kruszelnicy, ale przeważnie zabierała Itę do siebie. Serdeczną, troskliwą opieką niewoliła serce dzikuska. Ita mimo woli zaczęła naśladować przyjaciółkę. Nie znaczy to, że zatracala swą indywidualność, ale przyjaźń ta ścierała ostre kanty jej charakteru i sposobu bycia. Ita wyrażała się poprawniej, nie robiła wrażenia onieśmiałej. Nabrała w zachowaniu swobody i pewności.

Ela, chcąc swoją małą ogładzić i przyzwyczaić do towarzystwa, zapraszała do siebie często kuzynkę, panienkę z talentem, grającą na skrzypcach, i córki sędziego, miłe dziewczątka, które szczerze polubiły Itę.

W miarę, jak powoli zacierał się w Icie nalot wpływów samotności, potężniał jej urok dzikiej kotki i zarazem subtelnej, delikatnej natury. Nieodstępnym prawie towarzyszem panny był baronek.

- Ja się chyba w tej sikorce Kocham - powtarzał siostrze.

- Proszę cię, trenuj swe talenty gdzie indziej. Ita nie jest zepsutym dzieckiem i, doprawdy, wstyd mi za ciebie.

- Ja jej nie zrobię krzywdy, chcę tylko, żeby mnie pokochała.

- Ciebie pokochać może panna Janeczka...

- E, nie lubię cielęciny, nawet z papryką, wolę dziczyznę.

Ela się irytowała, ale brat był uparty i pewny siebie. Mieczysław i Lutek kpili trochę z niego, ale w myśli nieraz widzieli już siostrę baronową. Antek zaś mało zwracał na to uwagę, gdyż pochłaniało go

uczucie. Sympatia do Eli przybierała coraz żywsze barwy, ale jeszcze się analizował, badał, czekał.

Witold zaś widział zmiany zaszłe w Icie. Kochał ją zresztą coraz goręcej. W listach do matki skarżył się, że Ita odejdzie od niego, bo zabierze mu ją świat. Matka stale odpisywała: „Bądź szlachetny i bacz, byś nie złamał życia dziecku, co ledwo wchodzi w jego bramy. Jeśli kocha naprawdę, spośród tłumu wyciągnie ręce do Ciebie... Więc czekaj!”

A panna Janeczka tymczasem, zawiedziona w nadziejach, wylewała żółć na pokojówki, na matkę, wreszcie i na braci Kruszyńskich. Ciągle nie mogła doczekać się względów Witolda.

Co niedziela jeździła pilnie do kościoła, ale Ita zaraz po mszy znikwała z Antkiem i Witoldem. Wreszcie któregoś dnia znecierpliwiona panna udała się do ojca.

- Tateczku, ja mam ogromną prośbę.

- No? Chcesz jechać na Sorbonę?

- Nie!

- Do Oxfordu!

- Też nie... Ja chcę, tatusiu, malować.

- A maluj sobie, kociątko.

- Ale ja chcę się uczyć malarstwa.

- Hm... to trudniej, chyba jak będziesz w Warszawie.

- Tatusiu, u Kruszyńskich jest nowy nauczyciel malarz... Może on mógłby mi udzielać lekcji? Niech tatuś rozmówi się ze starym Kruszyńskim, mój złoty... mój najdroższy... Szkoda przecież mych

zdolności.

Więc ojciec przyrzekł, a Janeczka długo siedziała przed lustrem: studiowała uśmiechy, spojrzenia, sprawność wywołania rumieńców... i była zadowolona.

Zaraz na drugi dzień przed południem, gdy Witold siedział z Itą w altance, przyleciała Kasia.

- Pana nauczyciela starszy pan prosi.

Poszedł nieco zdziwiony. W kancelarii zastał Kruszyńskiego i Rosowskiego. Gdy przedstawiono sprawę, rzekł niechętnie:

- Doprawdy, nie wiem, czy potrafię wywiązać się z zadania. Lekcji malarstwa nigdy nie udzielałem.

- Mój profesorku, nie odmawiaj - prosił Kruszyński.

- Zrobi mi pan wielką grzeczność - wtórował Rosowski.

- Spróbuję. A teraz pożegnam panów, gdyż jestem zajęty.

Pod drzwiami stała Ita... Dawna dzika Ita.

- Pan się zgodził...? Jaki pan podły!

- Zrobiłem to dla twego ojca... Chodźmy, Ituś, dokończmy lekcję.

- Ani myślę!

Uciekła. Poszedł za nią. Nie mogąc jej znaleźć, usiadł na darniowej ławce... na tej samej, przy której Ita stała w koszulce i kładła mu ręce na czoło... Jak to było już dawno...

Zły, że lekcje przyjął, czuł jednocześnie, że to będzie ogniowa próba dla Ity. Siebie był pewny. Zbyt gorąco, zbyt boleśnie ją już miłował, by którakolwiek inna mogła wedrzeć się w jego serce.

Gdy o czwartej przyjechała po Itę baronówna, Witold wybierał się na lekcje do Janeczki.

Panienki stały na ganku. Witold ukłonił się i odjechał.

W oczach Ity zaświeciły zielone płomienie i usta poczęły drżeć, co widząc Ela przytuliła przyjaciółkę i szeptała serdecznie:

- Ituś, moja maleńka... Co tobie?

A ona wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

- Ta klępa mi go zabierze... ta małpa!

Ela zrozumiała.

- Ituś, nie płacz, jeśli pan Witold cię kocha, nie odbierze go żadna... Zresztą, jesteś taka śliczna.

Jej piwne oczy zapatrzyły się w dal...

- To tylko ja byłam nieszczęśliwa...

- Dlaczego?

- Bo widzisz, moja droga, kiedyś i ja kochałam, ale piękna panna odebrała mi serce narzeczonego.

- I nie wytłukłaś jej?

- Nie, dziecko, ona go widać też kochała... A zresztą nie byli potem szczęśliwi.

- Ale ja nie chcę, ja go nie oddam. To mój pan Witold.

- Twój, Ito, nie martw się... Tylko nie rób scen, nie pokazuj nadąsanej buzi. Będzie mu przykro.

- A mnie też jest przykro. Mnie jest w duszy zupełnie tak, jakby lo... komotywa jechała prędko, prędko... Takie coś leci naprzód i szumi.

Z podwórza wbiegł zmęczony, czerwony Antek.

- Dzień dobry pani! Przy żniwach byłem z ojcem. Ale... co się tu stało...?

- Nic... przyjacielskie zwierzenia!

- Jak dobrze, że pani przyjechała - mówił radośnie i, widać, szczerze, przejęty możliwością widzenia Eli i spędzenia reszty dnia w jej towarzystwie.

- Pójdziemy we trójkę na spacer. Taki śliczny czas.

- Ależ pan zmęczony!

- Najpierw zjemy podwieczorek... A zresztą... przy pani odpoczywam.

Ela uśmiechnęła się trochę smutno i nie odpowiedziała.

Szli wąską ścieżką u zbocza góry. Z lewej strony biegła wąskotorowa kolejka, z prawej cudowna, migotliwa setką barw łąka stroiła zbocze. Ita skakała jak wróbel i nienasycone rwała kwiaty.

- Niech pan spojrzy, czy nasza mała nie wygląda jak boginka?

- Że też pani zawsze tylko o kimś innym mówi, na innych poleca zwracać uwagę.

- Bo ja jestem najmniej ciekawa. - Antek odczuł w głosie szczerą trochę żalną.

- Jak dla kogo. Dla mnie najbardziej interesującą osobą jest właśnie pani. Proszę nie przerywać... pani, nikt inny.

Nie umiem przemawiać ni słów dobierać. Pani jest moim typem i jeżeli się ożenię, to tylko z panią.

- Panie Antku... pan jest dziś nieprzytomny.

- Owszem, przytomny... najzupełniej. Pani myślała zapewne: Jak on śmie, jakim prawem? Powtarzam, jeżeli się ożenię, to z panią. Oczywiście, gdy pani odmówi, nic z tego nie będzie. Zostanę wtedy starym kawalerem.

Mówił to wszystko spokojnie, ale głos mu się pogłębił i widać było napięcie na twarzy.

Podeszła Ita.

- To dla Eli, a te schowam dla pana Witolda - mówiła, rozdzielając kwiaty.

- A dla mnie?

- Niech ci da Ela... Chociaż nie! To moja Ela... tylko moja, prawda?

- Tak, Ito!

- Nie, panna Ela jest też troszkę moja...

- No, ja nie chcę! Nie bądź brzydki... Wynoś się.

- Panno Elu, niechże pani odpowie tej niegrzecznej dziewczynce.

- Odpowiem kiedy indziej, a teraz może skręcimy nad rzekę i brzegiem wrócimy do domu, bo na mnie czas. Na pewno brat przyjechał.

Zgadła. Przed bramą stał samochód, a z ganku poderwał się baronek.

- Panna Ita jak wieszczka kwiatów... Proszę o jeden dzwoneczek, będzie mi przypominał oczy pani.

- Mogę panu dać trzy i pokazać, gdzie rwałam.



Gdy przysunęła się blisko, kładąc kwiat do butonierki, Janusz szepnął:

- Rusalko moja! Zdziwiła się ogromnie.
- Elu, co to rusalka?
- To taka śliczna istotka, co mieszka w wodzie.
- Fuj! Takie mokradło... Gniewam się na pana.

Pobiegła przez trawnik, za nią Janusz. Nagle stanęła i blask radości padł na twarzyczkę. Usłyszała turkot bryczki. W tej chwili Janusz chwycił ją wpół.

- Teraz pocałuję - szeptał zdyszany.

- Nie chcę... no... poszoł! Zaczęli się szarpać. Ita zapomniała o dobrym wychowaniu i trzepnęła napastnika w nos, ale to go rozjątrzyło jeszcze bardziej. Wściekłość dodała mu siły.

- Ela! Ela! - krzyknęła rozpaczliwie Ita.

Puścił ją, bojąc się uwag siostry.

- Pan jest głupia małpa! - rzuciła dziewczyna pogardliwie i pobiegła pędem. Zdyszana klęknęła przy kolanach Eli.

- Co ty wyprawiasz, mała! Tak gonić! - gderała baronówna.

Na ganku był jeszcze Kruszyński z synami i Witold, który objął swą dziewczynę gorącym, stęsknionym spojrzeniem.

- Zostańcie państwo na kolacji - zapraszał serdecznie gospodarz domu.

- Nie robię nigdy chińskich ceremonii, ale dziś nie mogę, gdyż spodziewam się wieczorem ojca, miał przyjechać ze Lwowa - tłumaczyła baronówna.

Spoza drzew wysunął się teraz Janusz i chociaż Ita zachichotała złośliwie, ale nie rzekła ni słówka. Przy pożegnaniu Antek, całując rękę Eli, spytał szeptem:

- Czy pani jutro odpowie siostrze?

- Jeżeli przyjedzie do mnie, tak!

Antek musiał jednak ćwiczyć cierpliwość, bo właśnie „jutro” Ita poszła z Witoldem na spacer.

- Tak mi smutno było. Tak źle bez pana. Najpierw to się wściekłam, a potem Ela powiedziała, że tak nie można i już byłam tylko smutna. Czy... czy pan nie woli tamtej?

- Nie, Ituś. Ja mam tylko jedną, jedyną uczennicę, małą, drogą Itę!

- A tamta co jest?

- Rozpróżniona pannica. Wróciła uszczęśliwiona...

Biedactwo! Czekały ją gorsze próby. Gdy Witold znów udał się do Rosowskich, a miał lekcję co drugi dzień, Antek zabrał siostrę do Eli, która wyszła do nich uradowana.

- Widzisz, brzydulko, czekałam wczoraj cały dzień...

- Nie mogłam, byłam z panem Witoldem daleko na spacerze - wyjaśniła zadowolona Ita.

- No, no... Dobrze, ale wiesz co? Urządzamy uroczyscie twoje święto!

- Jakie?

- No, urodziny, trzeciego sierpnia są twoje urodziny. Już mówiłam o tym z twoim ojcem. Urządzimy śliczną zabawę z tańcami

i przedstawieniem. A ponieważ u nas jest więcej miejsca i duży park, więc odbędzie się to tutaj. Zresztą, mój tatuś chce ciebie poznać... Przyjedzie, a jemu, biedakowi, trudno się ruszać z tymi chorymi nogami. Dziś jest u mnie parę osób, omówimy plan zabawy i zawiążemy „komitet wtajemniczonych”. Panie Antoni, proszę w tej chwili zdjąć maskę oburzonego patriarchy.

- Jestem zdumiony i, przyznaję, oburzony.

- Jakież powód?

- Tyle ceregieli, tyle hecy dla jednej podfruwajki.

Ela spojrzała z wyrzutem.

- Szesnaście lat nie było ani jednej „hecy” dla tej „podfruwajki”, zresztą i mnie będzie szalenie miło.

- No to już dobrze. Ale, panno Elu, pamięta pani?

- Jak będzie czas, to przypomnę sobie i dotrzymam obietnicy.

- Dobrze. Czekam! A wtedy Ita, patrząc gdzieś w bezkres, rzekła swym oryginalnym w barwie, tęsknym głosem.

- Czy i wy czekacie na miłość tak jak mała, roztrzepana Ita?

Zmieszali się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Ela nie słyszała nigdy Ity mówiącej takim tonem. Zastanowiła ją także treść. Ale panienska wstrząsnęła kędziorami i błyskawicznie zmieniła temat:

- O... tam są czereśnie! U nas w tym roku nie ma ani jednej. Elu, mogę trochę urwać?

- Ile chcesz, złotko... Proszę bardzo, ale po cóż masz drapać się na drzewo? Zawołam ogrodnika.

- Takie lepiej smakują. - W jednej chwili zdjęła pantofelki i

wspięła się na drzewo.

Na dziedzińcu błysnął wypomadowaną głową Janusz, idący w towarzystwie dwóch młodych ludzi. Jeden był w mundurze oficera. Baronek przywitał się serdecznie z Antkiem, przedstawiając przyjaciół.

- Czy pan siostrzyczkę przywiózł?

- Owszem, właśnie siedzi na drzewie.

Janusz pociągnął kolegów.

- Mówię wam, boska. Śliczna Janeczka zgaśnie przy niej jak świeczka.

- Janusz! Tobie gorzej! Zaczynasz rymować.

Stanęli pod drzewem.

- Panno Ito... składam uszanowanie. Niech pani raczy pokazać twarzyczkę.

- W tej chwili nie mam czasu.

- Ale tu są śliczni chłopcy.

- E, gwizdzę na ślicznych chłopców, wolę czereśnie.

- Pokażę pani inne drzewo. Tam są smaczniejsze.

Zdumionym widzom fajtnęły przed oczyma dwie nóżki w jasnych pończoszkach... Ita zwiesiła się na rękach i bez namysłu skoczyła. Ela krzyknęła wystraszona, ale łobuziak najspokojniej w świecie już nakładał pantofelki. - Niech pani pozwoli przedstawić kolegów... porucznik Michniewicz, a to Karolek Ilnicki.

Ita z godnością podawała rękę.

- No, gdzie te drugie czereśnie...?

- Już pani chce nas porzucić, fe, to nieładnie.

- Kiedy mnie się nudzi, ja wcale nie wiem, jak z wami rozmawiać.

Porucznik spojrział zdziwiony... Co to za panna, której może być nudno w towarzystwie trzech młodych, eleganckich ludzi.

- A może zrobimy spacer po parku? - zaproponował.

- Ja chcę do saren...

- Rozkaz.

Ruszyli wielkimi alejami.

- Pani tu często bywa? - pytał Ilnicki, przystojny brunet w binoklach.

- Nie, Ela częściej do nas przyjeżdża, bo ja mam mało czasu, ale dlaczego pan nosi okulary? Jak stary dziad?

- To nie okulary. To binokle... - Roześmiał się Karol wyraźnie rozbawiony. - A noszę je dla urody, chcę być interesujący.

- Ach tak! Niech pan pokaże! - Włożyła sobie szkła na nos i wyglądała ładnie.

- Czy jestem interesująca?

- Cudownie!

Nie spostrzegli nawet, kiedy dotarli do ogrodzonej części parku.

- A oto i sarny!

- Biedne sarenki, im to musi być smutno... dlaczego ich pan nie wypuści? Ile razy tu jestem, mam ochotę to zrobić.

- Taka brzydka psotnica? Nie odpowiedziała Januszowi, gdyż nieoczekiwanie zagadnęła porucznika:

- Bardzo mi się podoba pana ubranie... W ogóle lubię wszystko, co tak ślicznie błyszczy. Pan musi być dumny ze swego uniformu, prawda?

- Tak, pani... Mundur oficera jest jego honorem.

- Może zagramy w krokieta albo ślepą babkę? Pan będzie ślepy - zwróciła się do Janusza i zawiązała mu oczy bez pytania.

Zaczęli biegać wkoło nieszczęśliwca, potrącać, popychać.

- Widzisz, co z ciebie kobieta zrobiła - kpił Karol.

Porucznik brzęczał ostrogami i jego też najpierw Janusz przycapił.

Do krzykliwego kółka podeszła Ela z Antkiem.

- Co się tu dzieje? Takie powagi! Zgroza! - załamywała ręce.

- To panna Ita tak nami dyryguje!

- Chodźcie mi zaraz na werandę... Przyjechała Irena i Linka z siostrą.

- A trzeciego to będzie moja zabawa - krzyknęła tryumfalnie Ita.

- Wobec tego rzucam wszystko i leczę - wołał Janusz. - Proszę mi dać rękę!

- A po co?

- Urządzamy wyścigi parami! - Szukał sposobności, by mieć ją przy sobie.

- Raz! dwa! trzy!

Biegli prędko, prędko... Ita w zapale nie spostrzegła, że skręcili w boczną aleję.

- Teraz pani nie puszczę, póki nie dostanę buziaka! - Janusz

trzymał ją mocno za rękę.

- No... bo znów pan oberwie.

- Ja też nie myślę wojować... Ja panią kocham, śliczny, duży dzieciaku... Wciąż myślę o tobie. Odkąd ujrzałem cię, śniesz mi się po nocach, taka świeża i czarująca.

- Jak pan ładnie mówi - szepnęła.

- Możesz zrobić ze mną, co chcesz, tylko pozwól się pocałować, malutka!

A Ita rzekła śpiewnie głębokim głosem:

- Nie mogę... Jestem zaczarowana... Czekam na miłość... Czekam i słucham, kiedy zmilkną moje oczy, usta i kędziorki, a serce zaśpiewa - kocham!

Odstąpił zaskoczony nieoczekiwanymi słowami, ale po chwili znów zaczął nalegać.

- Dobrze, ale niech pan zamknie oczy.

Spełnił rozkaz posłusznie. Pochyliła się ku niemu bliźniętka i... przylepiła mu do ust liść bzu.

Nim otworzył oczy, jej nogi migały już w biegu.

Kruszyńscy zabawili u panny Eli dość długo. Dopiero po jedenastej wracali eskortowani przez młodych ludzi.

Ita była rozbawiona i uradowana. W oknie Witolda światło nie paliło się jak zwykle... On sam stał przytulony do drzewa, niewidoczny. Ze ściśniętym sercem patrzył na roześmianą twarzyczkę Ity, widział, jak obcałowywano na pożegnanie jej rękę, a ona ich nie broniła.

Panienka zaś buchnęła od razu do łóżka.

- Mój Boże, jak mi teraz dobrze i wesoło... Jak to przyjemnie nie być dziką - myślała.

A potem nagły ból ścisnął jej usta i błyskiem zielonym spojrzął z oczu.

- Tylko jeden Witold nie pozwala się pocałować. Janusz by chciał... i wszyscy, żebym ich kochała. Tylko on każe czekać. Na złość nie będę na niego wcale patrzeć - postanowiła.

Zasnęła.

- Daj ty, Janusz, pokój tej małej... To takie cudowne, świeże dziecko, po co jej głowę zawracać. Chcesz ją wprowadzić na drogi, którymi chodzą nasze panny? - mówił porucznik w powrotnej drodze.

- Wiesz, ona i na mnie zrobiła takie wrażenie. Zdobyć jej miłość to rozkosz. Bo za serce zapłaci sercem wiernym, nie zepsutym. Jej niepotrzebne kadzidła hołdów. Ona nie szuka wrażeń. To prawdziwa kobieta - dopełnił zdanie kolegi Karol.

A Janusz syknął:

- Psiakrew! Bodaj to być wybranym. Jak ona zbudowana! Psyche!

A panna Janeczka omotywała Witolda siecią najrozkoszniejszych spojrzeń, mdlejących uśmiechów, melodią głosu, węzowymi przegięciami ciała. Jednym słowem, roztaczała całą tęczę uroków, ale jakoś do tej pory nie poprosił jej o pozowanie, nie powiedział ani jednego komplementu. Odbywał lekcje ze spokojnym, lekko ironicznym uśmieszkiem. Odpowiadał na pytania, był



uprzedzająco grzeczny i... poza tym nic.

Pannę Janeczkę doprowadzało to do wściekłości.

- Jakże się miewa ta mała dziczka? - zapytała raz.

- Doskonale... Robi wielkie postępy.

- Jakieś dziwaczne imię jej dali... Ita... Ita... Cóż to za święta Ita?

O takiej nie słyszałam.

- To jest zdrobnienie. Właściwe jej imię brzmi Eleonora Rita.

- Jak pan, taki inteligentny, może w jej towarzystwie wytrzymać? Przecież to całkiem nieokrzęsana dziewczyna.

- Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

- Czy będzie pan trzeciego sierpnia u Ziemskich? Dostałam zaproszenie...

- Nie wiem jeszcze, może będę.

- Tak bym chciała z panem zatańczyć. Kocham taniec, porywa mnie i upaja.

- Aż tak?

- Zwłaszcza gdy tańczę z kimś sympatycznym... - zawiesiła głos i uśmiechnęła się przymilnie. - Dlatego właśnie gorąco pragnę tańczyć z panem.

- Dlaczego specjalnie ze mną?

- Bo mnie już nudzą te spojrzenia pełne zachwyty, ciągle komplementy... adoracje. Nie cierpię tego. Mam dziwną naturę. Chciałabym przejść przez życie cicho... Tylko w towarzystwie moich ukochanych książek... i jakiegoś oddanego mi serca - zakończyła górnolotnie.

- Przed chwilą mówiła pani z takim uniesieniem o tańcu!

- No tak... bo w tańcu mogę oddać całą tęsknotę za czymś nieznanym.

- Za nową serią adoratorów - pomyślał z niejaką złośliwością Witold.

- Panie Witoldzie, proszę mi obiecać, że pan będzie... Tak bardzo proszę. - Złożyła alabastrowe ręce i przysunęła twarzyczkę porcelanowej lalki do jego głowy. - Niech pan spojrzy, jak moje oczy proszą.

- Widzę właśnie i jestem upojony czarem tych turkusów, ale muszę już panią pożegnać...

- Jeśli pan przyjdzie, ofiaruję... całusa.

- O... pani... wobec tego przyfrunę!

## ROZDZIAŁ V

Ita siedziała na swej ulubionej darniowej ławeczce z książką na kolanach. Uczyła się geografii. Pan Witold opowiadał jej tak zajmująco o Japonii, namalował domek malutki, przy nim śmiesznego Japończyka... W ten sposób łatwo jej było zapamiętać wszystko. Teraz powtarzała zadane paragrafy. Dowiedziała się tylu, tylu ciekawych rzeczy i coraz więcej przybywa jej wiadomości dzięki tak dobremu nauczycielowi, ale on - jak zauważyła - jakiś smutniejszy, czemu? Usłyszała jego kroki, a potem ciepły głos:

- No, Ituś, umiesz lekcje?

- O tak! Doskonale. A jutro już drugi sierpnia, a potem moje święto! Tak się cieszę! Najwięcej z żywych obrazów i z tego, że będę rusalką. Szkoda, że pan nie może być rusalkiem, ale za to pan jest Parysem.

Nagle ucichła.

- No co Ituś...? O czym myślisz?

- Że jestem jak ta Psyche, co Erosa szukała. Mówiła mi tę bajkę Elusia i zaraz sobie tak pomyślałam. A pan Janusz zawsze mówi, że mnie kocha i chce całować, ale ja nie dam się.

Witold zbladł.

- Nie lubisz go, Ito?

- Lubię i tamtych lubię też, ale co do całowania... A zresztą może się i dam... - rzekła przymrużając oczy i patrząc z ukosa na Witolda.

- Aha... już ją omotali... Już zaczynają paczyć - myślał z bólem. -

Sam chciałeś. Sam tego chciałeś! Teraz ją stracisz!

Wstał śliczny sierpniowy poranek. Ita, ubrana biało, klęczała w ogrodzie przed posągami Madonny.

- Już jestem panna dorosła... O, Matko Boża, dziękuję za to. Za wszystko dziękuję, ale dziękowałabym więcej, gdyby pan Witold uwierzył, że go kocham... Żebym i ja wiedziała, że jestem tylko jego jedyną dziewczyną... Żadna Janeczka nie, tylko ja... Nie chcę jej obmawiać, ale sama wiesz, że to małpa... Mój dobry, śliczny Boże! Ty masz wielkie góry i lasy, i rzeki, i wszystkich ludzi, a ja chcę tylko jednego pana Witolda - szeptała cichutko, wznosząc oczy pełne łez.

Wstała już pogodnie uśmiechnięta i od razu zobaczyła Witolda.

- Chodźmy, Ituś, do altanki, bo tam ktoś czeka.

- A kto?

- Zobaczysz...

Biegła szybko i, stanąwszy na progu, krzyknęła:

- Ojej! To ja! Mój obrazek! Ojej!

Na stole pełnym kwiecica stał portret Ity. Z wianeczkiem na połyskliwych włosach, w krótkiej, odsłaniającej boscie nogi sukience stała pochylona nad strumyczkiem.

Dziewczyna patrzyła, złożywszy ręce, a potem w nagłym porywie chciała je zarzucić na szyję ukochanemu. Momentalnie jednak ochłonęła... Przybladła tylko i rzekła cicho:

- Bardzo, bardzo panu dziękuję. Jestem strasznie szczęśliwa, że mam swój własny obrazek.

Ucałował tylko brunatne ręce, nie mogąc przemówić.

Pokój jadalny też był przystrojony kwiatami. Przy nakryciu Ita leżała koperta z napisem: „Icie od ojca i braci”. Zawierała tysiąc złotych. Ojciec tulił długo jedynaczkę w ramionach.

Praktykanci i bracia z powagą całowali jej rękę...

Po śniadaniu Kruszyński wziął córkę pod rękę.

- Chodź, córuchno. Teraz będziesz miała inny pokój... Tamten, gdzie się rodziłaś przed szesnastu laty.

Otworzył zamknięte dotąd drzwi. Trysnęła smuga słonecznego światła. Ita weszła w swoje królestwo.

Był to dość duży różowy pokój, urządzonej elegancko i gustownie. Sypialnia i buduar z zmarłej matki. Teraz odświeżony, pachnący, robił przytulne, miłe wrażenie. Ita rozplakała się.

- Tatusiu... Ja tu coś jeszcze przyniosę...

Zniknęła, a za parę minut zjawiała się, taszcząc z wysiłkiem duży obraz.

Okrzyki zachwytu, podziwu, ciekawości. Witold stał w glorii.

- Panie Witoldzie - mówił w godzinę potem Kruszyński - dzień ten bez wątpienia jest najjaśniejszy od lat szesnastu. Panu go zawdzięczam... Daj ci, Boże, zdrowie i szczęście. Moja Jadzia cieszyłaby się. Patrząc na Itę, ją widzę... Tak, tak...

Zaraz po trzeciej przyjechał samochód. Ita z Antkiem i Witoldem próżno namawiała starszych braci, by wsiedli razem. Wielbiciele Janeczki postanowili udać się wpierw do niej i razem przyjechać dopiero wieczorem do Ziemskich. Solenizantka nie nalegała więc dłużej.

Przed pałacem czekała baronówna z Januszem. Wysiadając z auta pupilkę chwyciła w ramiona i całowała serdecznie.

- Ituś moja! Nawet nie wiesz, czym jesteś dla mnie, kochanie, ile ci życzę szczęścia.

- Ela, zostawże pannę Itę. Co dla mnie będzie? - Janusz próbował zwrócić uwagę na siebie, a Ita roześmiała się wesoło.

- Dla pana kosteczki! - zawołała rozpromieniona.

Ela zwróciła się do Witolda i Antka:

- A my zaraz do roboty. Halka i Nina też wkrótce nadejdą. Ogrodnik już przygotował potrzebną zieleń. Tymczasem chodźmy do tatusia... Ita!

Nad tarasem widniał misternie uwity napis z kwiatów: „Witaj, Maleńka”.

Pan Ziemiński, mężczyzna bardzo tęgi, o rysach pospolitych, lecz miłych, siedział w głębokim fotelu. Twarz miał bladą, a łysina nadawała mu dziwnie dobroduszny, jowialny wygląd. Robił wrażenie starego kawalera.

- Tatusiu! Oto nasza kochana solenizantka!

Pan Ziemiński wyciągnął rękę do zarumienionej panienki.

- Już tyle o pani słyszałem, że nie mogłem oprzeć się ciekawości ujrzania osóбки, którą moja córka tak bardzo kocha. A ponieważ dziś pani urodziny, więc przy okazji składam serdeczne życzenia.

Ita zrobiła wspaniały dyg. Popatrzyła chwilę i rzekła:

- Ela mówiła, że pan ma chore nogi, czy pana bolą? To panu będzie smutno, jak my zaczniemy tańczyć i biegać... Ale to nic, ja tu

zostanę trochę, to nie będzie tak nudno. Ja bardzo lubię starszków...  
Tyle ciekawych rzeczy wiedzą.

Baron patrzył wielkimi oczami na panienkę, wreszcie zaczął się głośno, serdecznie śmiać.

- Ha... ha... ha... - rozbrzmiewał potężny bas. - Oj, nie wytrzymam! - Hihi... hi - podskakiwały cieńsze tony. - Pani jest czarująca! Ha! ha! ha!

Wreszcie wytarł nos i oczy.

Objąwszy czerwoną jak wiśnia dziewczynę wpół, przycisnął do siebie i ucałował.

- Moje dziecko... skacz, biegaj, ile ci starczy sił. Ja będę patrzył i podziwiał. A za dobre chęci i serduszko dziękuję... Elusia, prędko będzie kawka? Myślę, że przed pracą posilicie się państwo!

Ela pobiegła w głąb willi, a Janusz przedstawił ojcu Witolda.

- Szalenie miłą ma pan uczennicę... Bodaj to być młodym nauczycielem - żartował baron.

W tej chwili przed pałac zajechał powozik. Wsiadły z niego Hala i Ninka.

Ela była uradowana.

- Jak dobrze, że wszyscy „wtajemniczeni” zebrali się wcześniej. Jeszcze tylko brak Irmy i porucznika Staśka, bo Karol od godziny łapie ryby.

Podano kawę.

- Jestem ci, Elciu, bardzo wdzięczny, żeś mnie tu ze Lwowa wyciągnęła. Człowiek w miłym gronie przypomni sobie dawne czasy

- uśmiechnął się baron.

- A dlaczego pan nie jest zawsze tutaj? - zapytała Ita.

- Interesy, kotku, biuro...

- Aha! Bardzo mi pana żal, ale dlaczego pan Janusz nie pomaga swemu tatusiowi? Zawsze razem prędzej by się skończyło robotę.

Janusz w tej chwili miał niezbyt mądrą minę, ale usiłował się wytłumaczyć:

- Ja jestem z zawodu prawnik...

- Ty jesteś z zawodu próżniak, synku, ale to głupstwo. Majątek ci zostawię, więc możesz próżnować, choć wcale nie szkodziłoby, gdybyś coś niecoś robił.

- Ech! Ojciec zawsze z uwagami wybierze się nie w porę.

Ita patrzyła chwilę bystro na ojca i syna.

- Elusia! Ja nie chcę siedzieć przy Januszu - zawyrokowała. - Ja usiądę koło pana barona. Pan mi się daleko bardziej podoba.

Zebrana przy stole młodzież nie hamowała śmiechu, a baron znów oczy i nos wycierał.

- Wcale nie wiem, czego się śmiejecie... Czy ja znów powiedziałam jakie głupstwo?

Baron zaprotestował gorąco.

- Ależ uchowaj Boże! Cieszymy się, że pani jest szczerą.

Ita usiadła obok niego.

- Panno Ito, czy ojciec nie ma zamiaru dziś do nas zajrzeć?

- Nie wiem. Może wieczorem. A ja dostałam na urodziny pokój mamusi... Tam jest wszystko różowe. I łóżko takie szerokaśkie, i biała



skórka niedźwiedzia na kanapce. Jaka szkoda, że pan nie może zobaczyć... Pan żałuje, prawda? Niech pan przyjedzie do nas w samochodzie. Pokażę panu mój portret... taki jak mamusi. Pan Witold zrobił.

Baron z rozczeniem słuchał szczebiotu panienki.

- Znałem pani matkę - rzekł cicho.

- Ita... idziemy do ogrodu!

- Nie, Elu. Ja zostanę, bo przecież pan by się zanudził.

- Ach ty, uparciuchu... zostań, ale niedługo przyjdę po ciebie.

- Niech mi pan opowie o mamusi. Tatuś nigdy o niej mówić nie chce, bo zaraz płacze.

- Pani mamusię poznałem, gdy ojciec objął u mnie posadę. Byli dopiero po ślubie... Pani Jadwiga ślicznie śpiewała i czarowała urodą. Jesteś do niej podobna... Tylko mamusia miała inny kolor włosów i nosek klasyczny, a ty, filutko, masz taki troszeczkę zadarty, jak moja sympatia ze studenckich czasów... Odwiedzała też czasem moją Wacię... Skarżyła się, biedactwo, na samotność i brak rozrywek, ale tylko przed Wacią. Dawniej tu było fatalne pustkowie... Teraz można wytrzymać. Po śmierci mej żony nie miała już wcale towarzystwa.

- Mnie też było pusto i smutno przedtem... Cały dzień latałam. Potem przyjechał pan Witold i zrobiło mi się przyjemniej. A potem Elusia. No a teraz jestem panienką... Wie pan? Ja wolę starszych niż młodych, bo oni plotą czasem trzy po trzy i wcale nie wiem o co chodzi. Pan Rosowski też jest taki prawie przyjemny jak pan. Tylko tej Janeczki nienawidzę.

Nadbiegła Ela i zabrała przyjaciółkę do wielkiej oszklonej altany.

Stół był zarzucony stosem bibuły i materiałów. Na podłodze przy dużym koszu klęczały Ninka i Hala, segregując kotyliony wedle pomysłów Witolda z wielką starannością wykonane. Janusz przeszkadzał im w robocie, chcąc wszystko przymierzać. Karol majstrował coś koło starego reflektora.

- Kotyliony? Ani mi się waż. To niespodzianka na wieczór.

- Nie pokazujcie jej - krzyczała baronówna. - Masz swój kostium.

- Janusz... Karol... wynoście się, bo panny będą przymierzać kostiumy.

- Ojoj... wielki cymes... Mało kobiet widziałem całkiem bez kostiumów? Nawet listków figowych zapomniały przypiąć.

- Nie chwal się, Januszu! Chodź - i Karol wyprowadził barona z altany.

Ela otoczyła Itę parawanem... Pomogła jej ubrać się w obcisły strój jedwabny, krojem zbliżony do kostiumu kąpielowego. Bez rękawów, głęboko wycięty i króciutki odsłaniał całe nogi. Na seledynowym atłasie wspaniale wyglądał srebrny dżet. Dżet ten Ela pracowicie odpruła od znalezionej w garderobie balowej sukni matki. Od ramion powiewała popielata i różowa gaza. Na rozburzone loki dziewczyny Ela włożyła wianek nenufarów.

- Wejdz teraz na stół! Ita, nie mogąc z zachwytu przemówić słowa, w jednej chwili stanęła nieruchoma jak posązek na ogromnym,

dębowym stole.

Panienki zachwyciły się głośno, a Hala rzekła:

- Wiecie co? Prawdziwszej rusałki to chyba w żadnej rzece nie znajdziemy!

- Ale zdejmijże pończochy i pantofelki - krzyknęła Ninka. - Ładna rusałka...

Z ogrodu dobiegł głos Witolda:

- Panno Elu, ogrodnik pyta, czy może ustawiać zieleń i krzesła.

- Już idziemy... Przebierzcie się, Halu, Ninko, i przyjdźcie do nas nad staw.

A nad brzegiem stawu porucznik i Janusz obstawiali zielenią posąg Satyra. Orodnik przy pomocy Karola znosił z wózka oleandry, świerki i palmy.

Ita usiadła na krzeselku, owinąwszy się w duży, jedwabny szal tak, że było widać tylko stopy i główkę. Ela tymczasem kierowała ustawianiem zieleni.

Od trzech szeregów krzesełek z dwóch stron półkolami, niby ściany, stanęły świerki i oleandry, dochodzące aż do brzegów stawu. Dzięki temu wytworzyła się widownia i scena ze śliczną perspektywą. Widownię od sceny oddzielono kurtyną umocowaną na linie.

- Tu jest wejście na scenę - wskazywała Ela. - Ubierać się będziemy w oranżerii. Chodź, Ita... Zasuńcie kurtynę i siadajcie.

Na dany znak chłopcy rozciągnęli kurtynę.

Przed posągiem Satyra stała Ita na paluszkach, lekko przegięta, z wyciągniętymi rękoma i lewą nogą odsuniętą w tył. W tej samej

chwili rozległy się subtelne tony skrzypiec. To Irma grała „Marzenie” Schumanna.

- Zaczynaj, Ituś - szepnęła Ela.

- Nie... nie mogę teraz... Później, wieczorem... Elu, teraz nie.

- No dobrze.

Zasunięto kurtynę, nieliczna gromadka widzów klaskała z zapałem.

- Prawda, że ładny obraz? A jak do tego przyjdzie reflektor, a może i księżyc będzie... - triumfowała Ela.

Nastąpiły próby dalszych obrazów. Wreszcie panny pobiegły do altany szykować pod kierunkiem Witolda pawilon turecki. Panowie wynieśli stół i fotele, a panienki dźwigały poduszki, dywany, wałki od kanapy, pufy, rozmieszczając wszystko między przyniesionymi z oranżerii kwiatami.

Na tych przygotowaniach czas upłynął szybko i słońce już zaszło. „Wtajemniczone” gronko czuło się porządnie zmęczone. Witold tylko, mając oczy i serce pełne Ity, biegał uśmiechnięty, dowcipkując, wiedząc, że wszystko to dla „małej”. A ona z rozjarzonymi oczami, z buzią w rumieńcach podskakiwała i dusiła Elę, to znów panienki w szalonych, radosnych uściskach.

Zaturkotała bryczka. Młodzi wybiegli na taras, myśląc, że to pierwsi goście. Okazało się jednak, że przyjechali muzykanci. Ela powitała ich uprzejmie i wskazała pokój specjalnie przygotowany. Ale i goście zaczęli napływać. Pierwsze błysnęły jedwabnymi, różowymi sukienkami siostry Radomskie w towarzystwie kuzynka, mocno

rozrośniętego młodziana, który klął widać w duchu swoje ręce, bo całkiem ostentacyjnie mu zawadzały. Po nich stale już ktoś wchodził na taras ślicznie oświetlony i pełen kwiatów. Zajaśniały wśród nich lampki w napisie: „Witaj, Maleńka”. Było to powodem wielkiego zdziwienia. Wiele osób zastanawiało się: - Co to za maleńka? A może jaka kuzynka baronówny? - Nie pytali się jednak, bo nie wypadało.

Wreszcie zajechała eleganckim powozikiem panna Janeczka. Spowita w czarny ze złotymi koronkami jedwab, wyglądała jak róża, wychylająca się z czarnego wazonu. Porcelanowa jej cera olśniewała świeżością... Białe, pełne ramiona wyzywały zalotnie i słały czar obietnic. Zaintrygował ją kwiatowy transparent.

- Kogóż to Ela tak wita serdecznie? - pomyślała.

Baronówna wyszła z Januszem naprzeciw.

- Nareszcie... Nie mogę dziś doczekać się wszystkich gości, a chcielibyśmy polonezem po ogrodzie rozpocząć zabawę, gdy się całe towarzystwo zbierze... A panowie Kruszyńscy nie przyjechali z panią?

- Byli u mnie przeprosić, bo wypadł im jakiś ważny interes w Skolu. Rzeczywiście mieliśmy przyjechać razem, ale wobec tego nie czekałam... Czemu jednak pani tak dawno nie zaglądała do nas?

- Przygotowywałam niespodziankę dla kochanych gości. A to zabiera sporo czasu.

- Hero białoramienna, odwróć swą złotowłosą główkę i w moją stronę - zaimponował erudycją Janusz, schylając się wypomadowaną imitacją czupryny w przesadnym ukłonie.

Janeczka podała rękę łabędzim ruchem.

- Czy i pan szykował niespodziankę?

- Ja zawsze jestem do rozporządzenia pięknych pań.  
Przyjechałbym na pierwsze wezwanie.

Weszli na taras. Woń kwiatów kłóciła się tu z wonią perfum. Błyszczały kolorowe lampki i rozbawione oczy. Wesoły gwar budził echa w dużym parku. Na schodkach tarasu ukłonili się Janeczce Witold i Antoni. Witała ich z błyskiem triumfu w turkusowych oczach. Podawała rękę ślicznym, dobrze wystudowanym w lustrze ruchem. Na widok panny zerwało się od małych stoliczków kilkanaście fraków, frunęło w jej stronę parę kolorowych szatek.

- Nie mogłem doczekać się pani - mówił młodziutki podporucznik, mający piękne oczy i hrabiowski tytuł. Rozkosznie przeciągłe spojrzenie było wymowną odpowiedzią.

- Panno Janeczko... tu jest wolny stolik... - zaprosił hrabia.

Osunęła się na fotel ruchem leniwym, pełnym gracji, i zaraz zasłonił ją wianek fraków i żakietów.

„Wtajemniczeni” sprawowali obowiązki gospodarzy znakomicie. Od stolika do stolika przesuwały się zgrabne panny Hala i Ninka, patrząc, by niczego nie brakowało. Porucznik i Karol starali się usilnie, żeby nie było osamotnionych pańienek.

Na taras wjechał w swym fotelu baron. Młodzież zgromadziła się koło niego, a on witał wszystkich serdecznie z dobrodusznym uśmiechem.

- Ależ pani wyrosła i wypiękniała... hm... hm... rajski owoc - kręcił głową, patrząc na Janeczkę.

- Widzi pani, zawsze to samo mówiłem - przymilał się Janusz, ale ojciec wnet odpalił:

- Tymczasem ostrzysz zębki na niedojrzałych owocach, ale to nie ma nic do rzeczy... Uroda pani wcale nie traci w ten sposób na wartości.

Janeczka rumieniła się wdzięcznie i już kokietowała smukłego czarnowłosego chłopca, zwanego „Lalą”.

A Ita prawie od godziny siedziała przed lustrem w pokoju Eli; cierpliwa Irma usiłowała doprowadzić do przyzwoitego stanu spiętrzoną, rozkrzyczaną tysiącem kędziorów fryzurę panienki. I woda kolońska, i szczotki, i grzebienie - wszystko tu było w robocie.

- Jak żyję nie widziałam podobnych włosów. Żeby choć nie były takie miękkie, czesanie poszłoby znacznie łatwiej.

- Jak żyję nie czesałam się tak długo.

- Żebyś się, kozo jedna, częściej tak długo czesała, nie pociałabym się teraz nad twą fryzurą.

Ita podniosła w górę żalosne oczy.

- Skoro Irma się złości, proszę Irmy, to może je obciąć krótko i już...

- Właśnie! Pomysł świetny! - Irma z wielką pieczołowitością układała dalej jedwabne, lśniące loki.

W drzwiach stanęła Ela.

- Może sprowadzić fryzjera, to na rano będzie gotowe!

- Nie! Obejdzie się. Ita wstań! Podnieś głowę! No...?

- Bosko! Główka Ity, zgrabna, okrągła główka lśniła miękkim,

wspaniałym brązem. Loki, przyciśnięte srebrną przepaską, spadały prawie do ramion, bujne i puszyste.

- A teraz chodźmy. Ita zbladła.

- Co ci to... Ituś? - spytały zaniepokojone kuzynki.

- Boję się!

- Wiesz...! - Irma z niedowierzaniem podniosła brwi. - Jeżeli to ma być dowcip, to ci się uda! Nie rób awantur... Idziemy.

Stały w drzwiach, wiodących z hallu na taras. Światło i gwar buchnęły na drżącą dziewczynę gorącym tumanem... Przymknęła oczy.

- Moi kochani goście, przedstawiam wam solenizantkę, na której cześć bawimy się dzisiaj. Panna Ita Kruszyńska... A teraz według programu zaczniemy zabawę polonezem.

Karol dał znak orkiestrze.

Gdyby panna Ita zaczęła na środku tarasu wywijać koziołki, nie zdziwiłaby zapewne więcej Janeczki i innych panien. Zwłaszcza Janeczki, która zbladła i oparła się o stół, patrząc szerokimi oczami na drobną, białą postać, otoczoną teraz gronem młodzieży, przedstawiającej się nieznanym dotąd panience.

- Co to znaczy? - zapytała wreszcie siostry Radomskie.

Ruszyły wymownie ramionami.

- Nie wiemy, ale trzeba się przywitać.

Gdy podeszły do Ity i spojrzały w dziecinną, ciemną od słońca twarzyczkę i zalęknione oczy, wszystkie trzy poczuły, że nie będą jej krzywe, zdecydowanie nie potrafią źle o niej mówić.



- Ja panie znam - mówiła Ita nieśmiało. - Pamiętam ten mój pierwszy występ w świecie. Panie się bardzo ze mnie nabijały, prawda...? Ale to nic, myślę, że teraz jestem trochę inna.

Wreszcie Janeczka dotknęła brunatnej rączki i skinęła królewsko głową.

- Zdziwiłam się ogromnie, widząc panią tutaj, prawie nie poznałam. Ostatni raz wyglądała pani zupełnie inaczej...

- Ja się niczemu nie dziwię - odparła słodko Ita.

- Panno Ito - kłaniał się uroczyście Janusz. - Proszę panią do poloneza w pierwszą parę.

Teraz Janeczkę o mało krew nie zalała ze złości. Na szczęście podszedł „Lala”. Z uśmiechem wsunęła mu rękę pod ramię, ale w głowie kotłowały się złośliwe myśli. Pomału zawiść podsuwała plan zemsty.

Kolorowy pochód sunął przez rozmigotane tęczkami lampionów aleje. Karol zaczął puszczać rakiety.

A na tarasie został baron sam i... marzył.

Z tryskających kolorami i gwarnym śmiechem alei wysunęła się cichutko jego młodość i przysiadła u stóp. Dawne chwile, gdy jako Gustaw Eldman, syn zamożnych fabrykantów, był jednym z najbardziej znanych burszów w Berlinie... Cichy, skromny pokój i mała Mitzi o szafirowych oczach i jedwabistych loczkach. Mitzi w różowej sukience i śnieżnym fartuszką. I noce pełne gwaru i śmiechu młodych, beztroskich zawadiaków, i dni spędzone nad książkami.

I wreszcie dyplom w rękę, w sercu Mitzi... i więcej nic. A dla

Mitzi to było za mało, bo była biedna. Dla jego rodziców też za mało, bo byli bogaci i nie chcieli Mitzi za synową.

I Erdman poszedł z dyplomem w świat, a gdy wrócił, nie zastał już różowej Mitzi.

A potem na drodze życia stanęła Wacia, tak bardzo do tamtej podobna. Tylko Wacia miała wszystko, bo i pieniądze, i nazwisko polskie szlacheckie... I nie chciała „Erdmana”, więc wyszła za „barona Ziemskiego”. Skoro miał pieniądze i dyplom, czemu nie mógł zostać baronem...? A potem Ela i Janusz. Ela - kochane, złote dziecko, Janusz, et... Spojrzał w kierunku syna. Janusz patrzył na Itę rozkochanym, przylepiającym się wzrokiem. Baron powrócił w swój świat. Pamięć jak zamglone lustro odbiła postać przecudnej pani Kruszyńskiej - ostatniej miłości. Beznadziejnej, ukrytej... Potem dotknęło go nieszczęście i pozostał... fotel.

Na taras weszła orkiestra, kierując się do sali tańców, za nią młodzież otrzepująca już pył marzeń.

Taras znów życiem zadrgał. Usuwano na boki stoliczki i krzeselka, gdyż niektórzy chcieli tańczyć tutaj.

Walczyk. Przed Janeczką stanął Witold.

- Jestem do dyspozycji! Wstała uradowana, a Witold nie spostrzegł, że jedne szafirowozielone oczy krzyknęły rozpaczą.

Itę otoczyło kilku młodych ludzi, zwabionych oryginalną twarzą i kocimi ruchami.

- Szkoda, że nie mogę od razu tańczyć ze wszystkimi, co mnie wybierają, ale ja nawet nie umiem.

- Ależ my tańczyliśmy już ze sobą... Może pani mnie nie odmówi? - rzekł Janusz.

- Odmówię. Najpierw popatrzę, jak inni to robią.

Młodzińcy odeszli szukać tancerek. Został tylko Janusz i porucznik.

- Jak się pani czuje?

- Jak na czubku topoli podczas wichury!

- Panna Ita ma cudowne porównania - zauważył Janusz. Spojrzała trochę złośliwie.

- Nieprawda. Jeszcze pana do osła nie porównałam.

Nie obraził się. Nawet pocałował jej dłoń.

- Noo!

- Nie wolno w rączkę? A więc w szyjkę!

- Panie poruczniku, proszę mnie zaprosić do walca, bo nie lubię głupstw słuchać.

Porucznik skłonił się, przygarnął lekko figurkę tancerki. Wpłynęli jakoś dość niezręcznie do sali. Ela uśmiechnęła się spoza ramienia Antka. Irma kołysała swą drobniutką postać, walcząc z Karolem.

Szereg niezręcznych, twardych posunięć i porucznik coraz więcej zdziwiony patrzy na partnerkę. Ruchy jej stają się pewniejsze. Sztywna figurka nabiera giętkości... Muzyka, gwar... Widok splecionych ciał zaczyna działać jak narkotyk na nieświadomą tego wszystkiego dziewczynę. Tańczy ona leciutko, czubeczkami palców dotykając posadzki. Główkę przechyla nieco zalotnie i, zapominając o

całym świecie, chce tylko całą swą zręczność i gibkość, i tak długo w ukryciu trzymaną zalotność oddać w tańcu.

I Janusz też patrzy z tarasu, nie wierząc własnym oczom. I stary baron kręci głową...

- Ależ ta mała tańczy... No, indyjska tancerka... No, no...

Ela przystanęła na moment w tańcu.

- Niech pan spojrzy na siostrę, panie Antku!

Spojrzał i zgłupiał.

- Co wy z tej smarkatej zrobiliście?

Ela podniosła oczy z gorącą radością.

- Aha, zuch moja maleńka.

- A pani jest moja maleńka? - Patrzył z napięciem w jej oczy. -

Tak?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Rozumiem. Dziękuję. Tańczmy, choć tak naprawdę nie lubię się kręcić.

- Możemy... możemy przejść się po ogrodzie - szepnęła.

Wyszli..., a i walc się skończył.

Porucznik ucałował z podziękowaniem rękę Ity.

- Jak żyję nie miałem takiej partnerki. Proszę o następny taniec!

Tymczasem panienkę otoczyło ciasniej kółko męskich postaci.

- To pani tańczyć nie umie? Jak można kłamać tak brzydko?

Proszę o walczyka...

- A ja o shimmy - poprosił ktoś.

- Ojej... Ja nie wiem, co to „szimi”. Jak to się robi?

- To pani zobaczy... Zaczęły ją bawić pochlebstwa.

Mimo woli stawała się zalotna, strojna w jakiś nieuchwytny urok. Szumiało też panience trochę w głowie od kruszonu. Ciemna cera kwitła matowymi rumieńcami... Oczy paliły się to dwoma szmaragdowymi płomykami, to znów prawie szafirem... Burza włosów drżała w świetle gorącymi błyskami miedzi i brązu.

Wkoło jej fotelika śmiech dzwonił nieustannie. Janeczka coraz częściej gryzła wargi, a złość zabrała jej śliczne kolorki. Dziwnym trafem otoczyli ją „hreczkosieje”, dla których do tej pory była zawsze niedostępna. Cała złota młodzież asystowała z zapalem tej znieawidzonej „chamce”.

Nie było w tym nic dziwnego. Ita ciekawiła nowością. Jej oryginalna, choć nie tak krzycząco okazała uroda, pociągnęła znudzonych bawidamków, których intrygowało i zachowanie się „małej” - szczere, proste, bez cienia hipokryzji, bez śladu wyrafinowanej kokieterii.

Znów zagrali. Itę porwał hrabia.

- Teraz właśnie tańczymy shimmy.

- Ale niech pan tak nie przyciska...

- Pani jest demoniczny dzieciak.

- A pan jest demoniczny głupiec.

- Niech pani przytuli tak główkę, jak pani widzi u innych par.

- Ee... to jakaś przytulajka, a nie „szimi”.

- To właśnie jest właściwość tego tańca.

Przytuliła jednak główkę do skroni hrabiego.

- Cudownie.

Janusz tańczył teraz z Janeczką, która przybrała minę obrażonej monarchini.

- Panno Janeczko, jak ta mała tańczy! Niech pani poobserwuje.

- Nie widzę powodów do zachwytu, a po wtóre, zdaje się, że ona ma osiemnaście lat... Nie jest więc tak bardzo mała... Pozuje na naiwną, a ja pozy nie lubię.

- Aha... zazdrość - pomyślał Janusz i spieszył załagodzić:

- Oczywiście, nie tańczy tak jak moja białoramienna partnerka, ale ma duży wdzięk...

- Wy mężczyźni macie dziwnie niskie instynkta.

- O, przepraszam... - Pocałował ją w ramię. - Proszę zaraz zaprzeczyć.

Zaprzeczyła, oczywiście. Rozległ się gong. W drzwiach sali stanął Karol.

- Proszę państwa! Jeszcze jedna poleczka i proszę łaskawie pójść za mną.

Nagle rozległ się przerażony głosik:

- Ela! Ela!... Powiedz mu, żeby mnie puścił, bo nie zdążę.

Eli nie było, ale Karol wyswobodził Itę z objęć hrabiego. Jednocześnie zniknęły z sali Hala, Ninka i Irma.

Janeczka powiedziała do Janusza:

- Siostra pana jest na ty z tą Kruszyńską? Taka przyjaźń... - W tym momencie początkowo słodką melodię głosu stłumił jej w gardle skurcz wściekłości.

- Ach! Ela jest w niej zakochana... Zresztą... - I tu Janusz nie mógł się oprzeć głosowi uczucia: - To jest takie słodkie dziecko. Wie pani, któregoś dnia wpadliśmy do niej niespodziewanie rano. Ity nigdzie nie ma... Szukają jej wszyscy na gwałt. Witold nie widział uczennicy od śniadania. Wreszcie znajdujemy panienkę nad rzeką. Po kolana w wodzie... trzepała zajadle kijanką bieliznę. Okazało się, że jakaś tam Paraska zachorowała i panna Kruszyńska postanowiła ją wyręczyć. Jak jej było z tym do twarzy...

Karol wymachiwał rozpaczliwie rękami, wobec czego Janusz ukłonił się dwornie.

- Przepraszam panią, ale odrywają mnie. Zawsze człowieka krzywdzą - mówiąc to oddalił się szybko.

Janeczka usiadła koło serdecznej, bo brzydkiej i kąśliwej przyjaciółki.

- No wiesz, Fela! Co oni wyprawiają z tą chamką... To mi dopiero gust... Ale też i ona narzuca się bezwstydnie. Słyszałaś, jak wrzeszczała na całe gardło, żeby się pochwalić, że mówi ty baronównie? A jak to oczy spuszcza. Niewiniątko udaje!

- A jej matka podobno kochanków miała na prawo i lewo. Stary dotąd w długach siedzi, żeby zapłacić fanaberie nieboszczki...

- Słyszałam o tym, ale ta... Podeszły Radomskie.

- Wiesz, Janeczko, że nigdy nie bawiłam się tak dobrze... A teraz jeszcze jakaś niespodzianka... Cudownie, naprawdę cudownie. Ach, kuzynek jest w tobie zakochany - mówiły jedna przez drugą.

- Jak wam się podoba ta... Ita?

- Ach! Milutka! - zawołały jednogłośnie.

Piorun strzelił z turkusowych oczu.

- Macie niewybredny gust - wycedziła Fela.

Siostry popatrzyły po sobie i już miały zaprotestować, ale znów uderzył gong, który Antek specjalnie przywiózł z Kruszelnicy. Karol poprowadził gości do krzeseł i siostry siadły z daleka od Janeczki i Feli.

Rozsunięto kurtynę i orkiestra zagrała „W lasku Idy trzy boginie...” Parys - Witold podawał Helenie - Icie jabłko. Pozostałe boginie w osobach Hali i Ninki, ślicznie w blasku reflektora wyglądające, miały miny złe i zawstydzone. Hala załamała smukłe białe ręce... Ninka wznosiła oczy ku górze jakby wołając: - Zgroza!

Kurtyna zakryła miły obraz. Mitologia jako motyw posłużyła dobrze. Huknęły oklaski.

W drugim obrazie brał udział porucznik i Ninka. Porucznik siedział na koniu. Nina wystąpiła w wiejskim kostiumie, który miała już pod grecką togą.

Ładny i dźwięczny, choć niewielki męski głos zaczął:

Tam na błoni błyszczą kwiecie, stoi ułan na pikiecie...

W tym miłym duecie Ninka miała lepszy głos - silny i wyrobiony. Toteż oklaskom nie było końca.

W trzecim obrazie markiz Janusz i markiza Irma zatańczyli z wielkim wdziękiem menueta.

Wreszcie rozpoczął się obraz czwarty. Przed posągiem Satyra w



swym malowniczym kostiumie Rusalki stała Ita. Reflektor rzucił snop srebrnego światła aż na wodę i widzowie mieli wrażenie, że to naprawdę jakaś zjawia. Cisza uroczysta spłynęła na rozbawione grono. W tej samej chwili rozbrzmiało czarowne „Marzenie” Schumanna. Srebrne światło zmieniło się teraz w różowe. Ręce Ity, na początku wyprężone ku górze, miękko opadły. Od chłodnej tafli wody odbił się dźwięczny, aksamitny, tęskny głos.

- Kiedy księżyc do fali przytuli się cicho i roztrąci głąb ciemną srebrnymi piersiami... - rozpoczęła Ita opowieść Rusalki o miłości, rozpacz, pragnieniu szczęścia. - Nenufarami uwieńczone skronie chylę przed tobą i serce od fal chłodne o gwiazdy rozpalam. Ciało kroplami srebrzone w ogniu miłości suszę. Spójrz! Do mnie wyciągnij ramiona! Miłości chcę! Ja chcę miłości! - Ita tym dramatycznym wezwaniem kończyła występ.

Głos jej przez cały czas kołysał się, drżał, czarował melodią, wybuchał krzykiem rozpacz. Przez bladą twarz przelatywały łuny uczuć... A po rosie biegła spokojna, tajemnicza muzyka grającej Irmy.

- Miłości chcę...! Ja chcę miłości! - rozpalone błaganie zbudziło uśpione echa. Drobną figurką zastygła już w purpurowej smudze reflektora z ramionami wyciągniętymi, z ciałem podanym do przodu i odrzuconą w tył głową.

Młodzież siedziała bez ruchu zapatrzona, zasłuchana w uciekające echa. Nadal ani jeden oklask nie mącił tej dziwnej ciszy.

Witold był blady. Baron wycierał oczy. Antoni patrzył na Elę, której spuszczone głowa nie pozwalała dojrzeć twarzy... Wziął jej

szczupłą dłoń w swoją i pocałował lekko.

Porucznik i Janusz zrazu zapomnieli nawet, że trzeba ściągnąć kurtynę i biedną Itę zaczęły już boleć wyprężone nogi.

Wreszcie Karol zgasił reflektor. Prysnał czar. Zawrzało. Ela skoczyła do Ity... Dopiero po chwili zza kurtyny wysunęła się Rusałka, otulona ciepłym szalem. Zabrzmiały teraz oklaski i okrzyki. Wszyscy od razu chcieli Icie wieszować... Niektóre panny zupełnie szczerymi zasypały ją pocałunkami.

Ela z triumfem patrzyła na Mietka i Lutka, przybyłych dopiero w czasie trzeciego obrazu. Gong...

- No, moi państwo, czas coś niecoś przekąsić. Nie można żyć tylko mit Luft und Liebe - zabrzmiał dobroduszny, lekko drżący głos barona.

Witold zbliżył się do Ity.

- Brzydka dziewczyna... Czemu pani nic mi nie powiedziała, że przygotowuje taką piękną deklamację?

- Doprawdy, dobrze wyszło?

- Cudownie, wspaniała Rusałeczko...

Więcej nie mogli rozmawiać, bo i tak wszyscy patrzyli z zaciekawieniem.

Janeczka podczas przedstawienia zapomniała o złości. W chwilowym zamyśleniu błysnęło bolesne uświadomienie, że ona ani razu nie czuła pragnienia głębokiej, prawdziwej miłości. Uczucie wymieniała na groszki tuzinkowych flirtów. Teraz więc wściekłość z zazdrości płynąca, upokorzenie i cień zapiekłego żalu zlały się w

jeden wzburzony potok.

Rozmawiała szeptem z Felą, bardziej żółtą niż zwykle. Jadowite uwagi pod adresem Ity przeplatały prawieniem sobie tysięcznych komplementów... Fela przekonywała Janeczkę, że rola bogini Heleny jej by tylko odpowiadała. Wyśmiewały i krytykowały każdy obraz... Najwięcej, oczywiście, „Rusałkę”. Zarzucały Icie właściwie wszystko. Robiły to z tym większą zajadłością, że w głębi duszy były jednak przekonane o niesprawiedliwości swych sądów... Wylewały żółć i na Elę, oburzone, że nie zaproszono ich do udziału. Janeczce w głowie nie mogło się pomieścić, że ona, królowa piękności i gracji, tak niefrasobliwie została pominięta. - Gdybym wiedziała, co tu będzie, nigdy bym nie przyjechała. Ale to bezwstydnica... Występować prawie całkiem nago... - syczała, dorzucając wciąż nowe, zjadliwe uwagi.

Antek tymczasem rozmawiał z Elą.

- To pani utwór, ta deklamacja Ity, tak?

- Tak.

- Czy pani wystarczy moja miłość?

Schyliła głowę tak, że trudno mu było dojrzeć jej twarz.

Odważył się jednak zadać pytanie:

- Poczeka pani na mnie rok?

- Tak... - usłyszał ledwo wypowiedziane słowo.

- Zatem jesteśmy zaręczeni - oznajmił po prostu i ucałował rękę dziewczyny.

Nie uszło to oka Janeczki, nie wiedzącej o co chodzi, ale

domyślającej się nowego ciosu dla swej ambicji.

W jadalni na głównym miejscu stało krzesło ubrane kwiatami, przeznaczone dla Ity, która teraz wyrywała się otaczającym, aby pobiec do oranżerii zmienić kostium.

Gdy wyszła w swej skromnej, białej sukience, młodzież, stojąca przed oranżerią, wśród krzyków radosnych wniosła solenizantkę do jadalni. Wszystkie panienki, z wyjątkiem Janki i Feli, bawiły się wyśmieniem, bo w gruncie rzeczy nic im nie szkodziło, że królowną jest ta drobna, dziecko prawie, dziewczyna. Przecież właściwie przyjemnie im było szaleć, biec w jej orszaku, popychać się ze śmiechem, potrącać... Dzięki niej mogły dziś tańczyć i flirtować. Bracia, Mietek i Lutek, postarali się usadowić po obu stronach Janeczki. Ita za najbliższych sąsiadów miała ojca i barona. Kruszyński był wzruszony. Z niedowierzaniem patrzył na córkę, tak nieoczekiwanie wyrosłą na ważną osobę. Baron zadzwonił w kieliszek.

- Pierwszy toast wypijemy, oczywiście, za zdrowie naszej uroczej solenizantki - powiedział. - Niech żyje jak najdłużej!

Podniosły się ręce z kieliszkami wina, drżały szyby, a z czterdziestu piersi płynął wesoły śpiew: - Sto lat, sto lat... Niech żyje, żyje nam!

A potem dziecinnie brzmiący głos zaprzeczył:

- Ojej! Nie chcę sto lat. Będę musiała być taka brzydka jak stara Praksia!

Śmiech! Wesoły, szczery śmiech zapanował wszechwładnie.

- Siostrzyczce panów ciągle się zdaje, że jest w polu - wyciskała z gardła kwaśno - słodkie tony Janeczka.

- I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. Ona się chyba nie ucywilizuje nigdy - odparł Mietek z przekąsem, chcąc się przypodobać sąsiadce, a może tak myślał naprawdę?

Pan Kruszyński wznosił toast za zdrowie gospodyni.

Uśmiechnęły się do Eli prawie wszystkie oczy i serca.

A potem zaproponowano zdrowie skrzypaczki Irmy, następnie zdrowie artystek i artystów.

Szczęściem, że pili tylko wino i to wino słabe. Jednak Ita czuła, że coś dziwnego z nią się dzieje. Zresztą może to była tylko radość, bo wszystkie twarze promieniały weselem. To ten nastrój ogarnął ją, widoczny w oczach i ustach, w ruchach. Czarowała wdziękiem. Mówiła też bez ustanku, zupełnie jakby ktoś obcy mówił w niej, a ona słuchała i dziwowała się ogromnie.

Odpowiadała na uśmiechy i pytania. Pytała sama. Zachwycała się głośno w naiwnych słowach urodą i strojami pańienek. Komplementy męskie z rozbawieniem odwzajemniała żartami. A w ogóle to wciąż słuchała siebie z podziwem.

Potem były znów tańce. Przed Itą stanął Witold.

- Panno Ito, może i na mnie spłynie łaska królowny.

Uśmiechnęła się bez słowa i zaczęli wirować.

Reszta „wtajemniczonych” zniknęła, bo należało szykować kotyliony.

- Panie Witoldzie, mnie jest tak strasznie przyjemnie, jakbym się

bujała na wielkiej, wielkiej huśtawce. Wszyscy są tacy mili i dobrzy. A pan Janusz powiedział, że szaleje z miłości... a hrabia, że jestem rozkoszna... Ja lubię słuchać takich rozmaitych rzeczy. Ha... ha... ha... Niech pan mi też coś powie! Na przykład - kocham panią... Pan mnie też wściekle kocha?

- Nie, Ito...

- Aha... pan kocha Janeczkę! - roześmiała się, bo właśnie poczuła, że mimo wszystko jest jej ogromnie wesoło i zabawnie.

- To nic! Kochajcie się... Tańczcie, tańczcie! Ja też się kocham wściekle, demonicznie... Pa! Hrabiku śliczny, teraz ja z panem! - wpadła w ręce radośnie wyciągnięte.

Witold stanął na boku.

- Już po wszystkim - szepnął. Przemknęła obok niego przytulona do hrabiego, roześmiana.

Jak tonący szuka ratunku, tak Witold usiłował tłumaczyć sobie:

- Może wino jej uderzyło do głowy, biedactwo... Nie wie, co mówi. A może już po wszystkim? Może straciłem ją?

- Kotylion, proszę państwa! Kotylion!

I znów biczący, wstrętny głos: - Straciłem ją.

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Witold znów stanął przed Janką.

- Pani pozwoli? Odpowiedział mu omdlały radosny uśmiezek.

- Myślałam, że pan poprosi tę „Rusałkę”. - Nie mogła sobie odmówić tego drobnego przytyku.

- Wolałem widocznie kogo innego - rzekł banalnie, przycisnął ją

lekko do siebie, klnąc wszystko w duchu.

- Pierwsze karo proszę za mną! - wołał Karol i wyprowadził cztery rozbawione pary z sali.

Za chwilę już cała czwórka wkroczyła z powrotem triumfalnie. Panowie i panie w złotych koronach, przy których panie miały pęki wstążek. Panowie zaś trzymali w ręku odpowiedniego koloru berła. Przywitano królewskie karo oklaskami.

Drugie karo wróciło. Była tu Janka z Witoldem. Panowie mieli siatki, panie zaś skrzydełka przypięte do ramion.

Trzecia czwórka wbiegła z łoskotem i dzwonieniem. Panowie mieli założone lejce, panie wyposażyły się w baciki i dżokejskie czapeczki. Kiedy czwarte karo znalazło się na sali, za chwilę zgasło światło i wszyscy ujrzeli walczące cztery wspaniałe pary. Panowie trzymali na wysokich kolorowych laskach tęczowe lampiony, panie zaś miały na głowach jakieś fantazyjne kapelusze, kolorami harmonizujące z lampionami partnera.

Ostatnią wreszcie grupę stanowili „wtajemniczeni”, oprócz Ninki, która była w pierwszym karze, i Witolda w drugim.

Właśnie ta ostatnia grupa zrobiła sensację, bo przyszli w kostiumach z żywych obrazów. Ela włożyła krakowski strój Niny, Hala wystąpiła w swej greckiej szacie. Irma była milutką markizą, a Ita rusałką, tylko trochę cywilizowaną, bo w pończoszkach i pantofelkach. Kusy kostium Ela udrapowała zręcznie szalami, aby było przyzwoiciej. Ponieważ Karol i Antoni kostiumów nie mieli, więc pierwszy owinął się w togę Parysa, a drugi na usilne prośby Eli

pozwolił zawiązać sobie na głowie turban i włożyć szlafrok barona. Porucznik w swym wysokim czaku udawał zadzierzystego ułana, ale całkiem wyraźnie zdradzał skłonności do stylizacji rodem z mitologii.

I dopiero teraz się zaczęło. Orkiestra grała swoje, każde karo, każda para niemal śpiewała co innego... Jak stubarwny rój motyli wybiegli wszyscy na taras. Syknęły serpentyny, zaszemrały confetti... Rozbiegli się po alejach. Baron i Kruszyński utonęli rozmarzeni w tej młodej wrzawie.

- Ci się bawią... panie... co? - kiwał głową baron.

- Tak... Tak... - wtórował Kruszyński.

- Ej, żeby nie ten fotel... ależ mała... no, no...

Ita jak błędny ognik migąła po alejach, goniona przez Janusza i hrabiego.

Zapędziła się nagle na scenę... i cofnęła przerażona. W pierwszym rzędzie krzeseł siedziała Janeczka i Witold. Ona oparła mu głowę na ramieniu, on trzymał jej rękę.

Ita wcisnęła się głębiej między dwa oleandry. Zobaczyła wyraźnie, jak białe ramię panny owija szyję Witolda. Nie dostrzegła tylko, że Janka zerka w jej stronę, a oczy ma pełne złego, triumfującego uśmiechu.

- Aha! To tak jest... biedna, głupia rusalko!

Ita zacięła ząbkami wargi aż do krwi. Nie odchodziła. Chciała patrzeć, patrzeć, a potem skoczyć i wdusić pięści w turkusowe „ślepie” tej lalki. Nie mogła darować Witoldowi. Powinna mu napluć w twarz za to, że jej kazał czekać, a z tą wstrętną pannicą ściska się



bezwstydnie.

Dobiegły do niej słowa wypowiedziane aksamitnym, wystudiowanym głosem:

- Pan mnie kocha...! Przymknęła oczy... Strasznie szumiało jej w głowie. Chciałaby znaleźć się znów w jasnej sali, żeby się wszyscy na nią patrzyli i uśmiechali się. Pragnęła, aby ktoś szeptał, że ją kocha. Czowała się znów samotna, bardzo samotna.

Biegła pędem do pawilonu. Ktoś jej zastąpił drogę, ktoś wziął za rękę.

- Mam uciekiniera... teraz zacałuję - szeptał Janusz i dziewczyna nie broniła się, ale wybuchnęła serdecznym, żalonym płaczem. Zaniósł szlochającą do pierwszej napotkanej ławeczki i trzymał przy sobie mocno...

- Co tobie, maleńka, śliczna... Co tobie? - pytał, dziwiąc się, czemu jej nie całuje teraz, kiedy ma sposobność, a z tkliwością niemal ojcowską gładzi roztargane kędziory, wsłuchany z niepokojem w tak dawno nie odczuwane drżenie swego serca.

- Ja... ja... już nie chcę... czekać na miłość... Już nikomu nie wierzę... nikomu... wszyscy są gorsi niż Iwan co Paraskę tłucze.

Niewiele z tego Janusz zrozumiał, ale odczuł, że temu dziecku stała się krzywda.

- Moje biedactwo... moje śliczne!

Wtuliła nosek w jego ramię.

- Pan jest dobry... pan przynajmniej nie łże - i niespodziewanie pocałowała go w policzek.

A w tej samej niemal chwili Janeczka pocałowała Witolda, który siedział bez ruchu jak manekin.

- Kocham pana... Zerwał się, chwycił śnieżne ręce... Przez moment przechylona czekała, że zasypie ją gradem szalonych pocałunków, ale on puścił jej ręce i odszedł szybko.

Zdeprymowana po jakimś czasie ruszyła do pawilonu, pocieszając się, że widocznie nieprzytomny z miłości do niej boi się sam siebie. Wtem w alei na ławeczce ujrzała Janusza i Itę. On klęczał i całował ręce dziewczyny.

Przystanęła i, odczekawszy sekundę, powiedziała:

- Przepraszam... nie chciałam przeszkodzić czulej scenie.

Baronek zerwał się zmieszany, ale Ita odparła spokojnie:

- Bardzo proszę... Ja pani też nie przeszkadzałam, gdy się pani kochała z Witoldem... A teraz właśnie lecę wszystkim opowiedzieć, jaki był to śliczny, żywy obraz.

Zerwała się i pobiegła jak strzała. Janusz był w niemiłej sytuacji. Teraz panna Janeczka odegrała znakomicie rolę uciśnionej niewinności. Upadła na ławkę, szlochając:

- To bezwstydnica... jak kłamie, jak okropnie kłamie, ona mnie skompromituje... ta kokota...

Czemuż baronek nie miał pocieszyć zrozpaczonej. Miała przecież takie ładne ramiona...

- Panno Janeczko, to dzieciak... Panno Janeczko, proszę się uspokoić - szeptał i całował białe ręce... Potem ramiona i wreszcie pocałował ją w usta.

- Jak pan śmie korzystać z mojej słabości? - obruszyła się.

- Pani wie, jakie żywię uczucia do pani.

- Widziałam właśnie przed chwilą...

- Ech, z takim dzieckiem! Proszę zapomnieć. Przebaczyć - prosił całując, ale resztką przyzwoitości kazała mu się złązać, bo jeszcze w uszach miał drżące słowa Ity: - Pan jest dobry. Pan przynajmniej nie łże.

Panna Janeczka nie zauważyła tego przelotnego zmieszania na twarzy markiza.

A Ita siedziała już w tureckim pawilonie, przytulona do Eli. Wkoło na poduszkach i zaimprovizowanych tureckich otomankach skupiła się młodzież. Irma grała...

- Ituś, nie chłodno ci? - pytała Ela. - Taka bladziutka jesteś.

- Nie, dobrze mi.

Witold nie opodal rozmawiał z baronem, który tu ze swym fotelem przywędrował.

Subtelne dźwięki cudownych melodii oczyszczały atmosferę. Rozmyła się gdzieś lekko zmysłowa aura, którą zastąpiło czyste i prawdziwe piękno. Ucichły szepty i rozmowy.

Wejście Janeczki nie zwróciło prawie niczyjej uwagi... Witold zacisnął mocniej usta. Panna usiadła obok Feli i od razu zaczęła jej coś szeptać.

Zagrała orkiestra i pary pomknęły na salę... Nikt znowu nie myślał o utrzymaniu „dystynkcji” i „dobrego tonu”. Kolorowe kostiumy, dobra wola „wtajemniczonych”, a szczególnie

bezpośredniość gospodarza oraz prostota baronówny sprzyjały zabawie i panującemu na niej dziecinnie swawolnemu nastrojowi. W pewnej chwili całe towarzystwo utworzyło wielkie koło i kręciło się jak szalone wśród wesołego śmiechu. Za chwilę biegali już wszyscy wężem po sali, przewracając krzesła. Wreszcie zmęczeni zgromadzili się przy fortepianie i gdy porucznik zaintonował „Upływa szybko życie...” zgodny chór podjął piosenkę. Za nią szły inne, weselsze, pełne swawoli i złotego humoru.

Janeczka ustawicznie wodziła oczami za Witoldem i wyzywająco spoglądała na Itę, ale tej nie dotykały spojrzenia i dwuznaczne uśmiechy. Zamknęła się i ból uczynił ją obojętną na otoczenie.

Witold też z rozpaczą szukał pomocy w ironii i szyderstwie. Ale z nie lada mocarzem miał do czynienia. Cierpiał tym bardziej, że Janeczka dotarła do niego i opowiedziała, jaką rozkoszną scenę widziała w ogrodzie.

- Niech pan sobie wyobrazi, jaka byłam wstrząśnięta! Co to wyczynia to niby nieśmiałe dziecko! Doprawdy wstyd! Żal mi jej, bo Janusz się bawi nią. Sam mi to powiedział. On, biedak, zakochany jest we mnie - mówiła, spuszczaając skromnie oczy.

Gdyby była mniej pewna siebie i wiedziała, jaką pogardę czuł dla niej Witold, inaczej zrozumiałaby odpowiedź:

- Tak, pani... Doprawdy wstyd... Mam teraz wstręt do siebie samego, bo ja przecież nie jestem dzieckiem. - Odszedł, a ona pozostała zawiedziona, bo liczyła, że poprosi ją chociaż do tańca.

Noc zaczęła nasiąkać perłową poświatą. W dali, nad górami, kotłowały się kłęby mgieł. Park odetchnął głębiej, a potem jakby leniwie się przeciągał. W chłodnym powietrzu ostro tężały pojedyncze kwilenia ptaków i gasły lampiony.

W sali tymczasem tańczono do upadłego.

W chłód na taras wysunęła się szczuplutka postać. Ita z opuszczoną główką w wianku zwiędłych nenufarów szła w perłowy mrok alei, wlokąc za sobą mgłę kolorowej gazy z otulających ją szali.

Stała przed posągiem Satyra i wpatrzyła się w ironiczną twarz.

- No, ty mój, tajemniczy... - mówiła Ita półgłosem, gorączkowo.  
- Ja już nie będę na miłość czekać. Moje serce teraz się śmieje... i gwizdże na wszystko. Nie mogę jemu tego powiedzieć, bo on już nie mój, tylko tej mały, więc mówię tobie. Ty jesteś mądry. Panna Fela powiedziała, że Witold jest nieprzytomny z miłości i że ma się z Janeczką żenić. To tajemnica, ale ja muszę to wszystko komuś powiedzieć. Mówię więc tobie, zwierzoludku.

I ja znowu nie mam żadnego przyjaciela, bo Ela już Antkowa. Całego serca dać mi nie może, a ja nie lubię ogryzków. Nie będę szczęśliwa, ale już i nie mogę być taka dzika jak dawniej. Teraz będę więc taka rozerwana, ani tu, ani tam, jak cielę, co wejdzie w szkodę i nie wie, gdzie uciekać. Ale płakać nie będę, będę się śmiać, aż przyjdzie czas, że się zemszczę.

Mimo tej goryczy, którą obdzieliła niesprawiedliwie i Elę, gdy z tarasu rozległo się wołanie: - Ita, Ituś, gdzie jesteś? Ita! - pobięła...

Ela, wystraszona, chwyciła ją za rękę, mówiąc: - Tak się

niepokoiliam o ciebie, maleńka... Wszyscy się też dopytują i proszą o powtórzenie obrazu.

Ita pomyślała chwilkę i kiwnęła głową.

- Dobrze!

Otoczyła ją młodzież i ruszyli hurmem na widownię. Karol dźwigał reflektor. Rozciągnięto kurtyne.

Ita stała tak jak wieczorem, ale we wzniesionych rękach trzymała wianek.

Zadrżały skrzypce. Na twarzy Ity błysnął uśmiech.

- O, Panie! Dziwny Panie, Faunie, co na fletni grasz tajemniczą pieśń... - zaczęła głosem czystym i dźwięcznym jak głos skowronka.

Ela wstała z miejsca zdumiona:

- Poplątało się małej! - pomyślała z rozterką.

- ...rzuć flet! Nie będę przybiegać do ciebie! Zdjęłam wianek nenufarów i już nie będę się przed tobą chwalić, bom lekka i swobodna. Przyszedł w nocy promień księżycowy i rzekł:

- Nie czekaj na miłość, Rusałko!

- A serce moje roześmiało się. Straciła moc twoja dziwaczna pieśń... Ja idę w słońce!

Ita rzuciła wianek na wodę, a sama znikła wśród gałęzi.

- Ita... Ituśka... Brawo! - krzyczeli wszyscy i klaskali.

Ela odnalazła przyjaciółkę i, objąwszy ją, wiodła do sali.

Kruszyński zegnał się z baronem.

- Gospodarstwo, panie baronie... Czas najwyższy. Konie też są już od pół godziny.

- Gdzie tam będzie się pan tłukł bryczką, zaraz każę dać samochód.

- Doprawdy, nie trzeba... Koniska próżno by się zmachały.

- Bryczką mogą jechać chłopaki... Jeszcze przeziębicie małą przez upór. Samochód zaraz będzie.

Ita zaś całowała na do widzenia panienki.

- Przyjedźcie któregoś dnia do mnie - mówiła do Radomskich. - Zabawimy się doskonale.

Siostry oddawały jej pocałunki serdecznie i szczerze.

Gdy przyszło żegnać się z Janeczką, stojącą na boku, Ita wyciągnęła z pewnym wahaniem rękę. Nagle oblała się purpurą.

- Nie! Nie mogę pani podać ręki... Nienawidzę pani.

Janeczka wykrzywiła usta w pogardliwym uśmiechu.

- Mało mi zależy na podaniu ręki takiej chamki - syknęła i odwróciła się.

Przed taras zajechał samochód i gdy Ita wsiadła z ojcem, młodzież zarzuciła ją deszczem confetti i kwiatów.

Panna cały dzień przespalała jak suseł, a na drugi nie zeszła nawet na śniadanie. Nie chciała zobaczyć Witolda. Od lekcji wymówiła się przez Kasię bólem głowy, chociaż Witold z ogrodu spostrzegł, że prowadzi konia. W parę minut zadudniły kopyta na moście. Chłopak usiadł w altance Ity, oparł brodę na pięściach. Znowu serce ścisnął mu ból. Miłość przyniosła mu klęskę i mękę.

- To moja wina, że Ita odeszła... Ja ją pchnąłem w ramiona tego błazna - myślał udręczony tą świadomością.

Coś zaskomliło mu u stóp.

Był to okropny, parszywy psiak. Kocięta i dwa szczeniaki dawno już wyszły spod ciepłej, troskliwej opieki Ity. Na ich miejscu był teraz wyniszczony, owrzodzony pies, szpak ze złamanym skrzydłem i wiewiórka z przetrąconą nóżką.

Witold pogładził psa bez wstrętu. Ona przecież zajmowała się nim z całą dbałością. Nakarmił menażerię, a potem poszedł do swego pokoju malować.



## ROZDZIAŁ VI

Ita w tym czasie harcowała po górach konno i śpiewała jakieś dziwaczne piosenki, których słowa dyktowało rozpaczliwe pragnienie, aby zapomnieć i zagłuszyć ból.

Pojadę w świat daleki,  
tam, gdzie palmy rosną,  
a w lasach są tygrysy...  
Bo ja jestem biedna, dzika Ita  
i nie mam białej buzi,  
i nie mam białych ramion,  
co obejmują szyję ukochanego.

Zeszła z konia i przywiązała go do drzewa. Położyła się w trawie puszystej i chłodnej. Nad głową złoty pył sypało słońce.

Koniki polne kłóciły się o pierwszeństwo w chórze. Motyle omdlewały na kwiatach w bezmiarze światła i woni. Czasem zachichotał radośnie dzwonek, zawieszony u szyi pasących się niedaleko baranów i krów.

A poza tym była cisza. Ita podłożyła ręce pod głowę i usnęła. Obudził ją hałas porykiwań i dzwonek. Zerwała się trochę oszołomiona.

Pastuch, gnający bydło, wytrzeszczył bladoniebieskie oczy i wytarł wstydliwie nos.

- Te, chłopak... już do domu idziesz?

- Ano!

- To już zaraz wieczór?

- Ano!

Wskoczyła na konia, który, wyskubawszy wkoło siebie trawę, czekał zmiłowania boskiego, i pognała jak wicher.

Przy kolacji siedziała koło Witolda, ale milczeli oboje. Kruszyńskiego nie było. Antek nie wrócił od Eli. Praktykanci próbowali zagadywać. Wreszcie umilkli trochę zdziwieni, bo w takim ponurym nastroju dawno panny nie widzieli. Mietek spytał wprost:

- Cóż to panienka znów fochy stroi?

- Pilnuj swego nosa, dobrze? - Odtrąciła krzesło i pobiegła do swego pokoju.

Stała w progu oczarowana.

Kasia właśnie zapaliła lampę, osłoniętą różowym abażurem. Pokój, tonący w półblasku, zdawał się szeptać słowa ciche, pełne ciepła i dobroci.

- Ale teraz to Ita ma ślicznie jak w kościele... Panna Ela tak się sfatygowała ze starszym panem i w szafie aż na dziwo poukładane wszyściutko.

Ita na paluszkach podeszła do szafy i otworzyła ją z namaszczeniem. Patrzyła w niemym zachwycie.

- Ale teraz to Icie te stare sukienki niepotrzebne, a mnie by się przydały, bo się żenię.

- A z kim?

Kasia pokazała zęby.

- He, he... z Iwanem... od koni.

- Bój się Boga, przecież Paraska do niego chodziła. Przecież spali ze sobą.

- A co to ma do tego? Kiej ona głupia laźła, to chyba frajer by był, żeby nie skorzystał... Przecie chłop je, nie? Dał jej co za to? A mnie pierzcianek kupił i kolczyki, to i lubi...

- Ale ona go też kocha... Czemu jej chłopaka zabierasz?

Dziewucha znów pokazała białe końskie zęby...

- E... kocha... jakie tam kocha... Świerbiła ją ta cnota, to i polazła se ulżyć.

- Aha!

Chwila milczenia.

- A Paraska nie płacze?

- Trochę se popłakuje, zawdy wianka musi żałuje..., ale pocieszy się prędko... O Jezu, alem się tu zagadała, a jutro pranie, muszę wody nanosić...

Popatrzyła na Itę wyczekująco... Dawniej panienska zawsze ofiarowała się pomagać. Teraz stała przy kanapce, klękawszy na niej jednym kolanem, i nie kwapiła się jakoś z odpowiedzią.

- No... niech mi Ita tę sukienkę daruje... przecie i tak nie są wiele warte!

Postała jeszcze chwilę i wybiegła...

A Ita przysiadła na kanapce. Nie słyszała ostatnich słów Kaśki. Dręczące myśli nie pozwalały jej się skupić.

- Aha! Więc chłop korzysta, jak ktoś do niego lezie... No tak,

pewno. Janeczka też laźła... Telimena też, ale Tadeusz wolał Zosię... A może Witold woli ją... Itę. A może ona właśnie laźła, a Witold wolał tamtą?

Myśl ta zapiekła ją boleśnie, aż zerwała się.

- Nie... nie wytrzymam. Spytał Witolda... Powiem mu, że widziałam scenę w ogrodzie...

Chciała myśleć, co mu jeszcze powie, gdy zauważyła na biurku pakę ozdobnie oprawionych książek.

Drżącymi paluszkami otworzyła pierwszy z brzegu tom. Były to poezje Asnyka... Na pierwszej stronie przeczytała: „Mojej małej córeczce - Ela”.

Ita utonęła w poezji i powoli zapomniała o serdecznej trosce. Na drugi dzień przyszła na lekcje z czerwonymi oczami, ale spokojnie i trafnie odpowiadała na pytania. Napisała wypracowanie i wreszcie zaczęła składać książki.

- Panno Ito... jeszcze do obiadu czas, może przejdziemy się gdziekolwiek - zaproponował Witold nieśmiało.

- Nie, proszę pana. Jestem zajęta. - Dygnęła niziutko.

Już w drzwiach przystanąła... Otworzyła nawet usta, by spytać, ale nagle błyskawicą przemknęła myśl:

- A jeśli on odpowie, że woli tamtą?

Uciekła więc. Nie miała odwagi usłyszeć strasznych słów... Uciekła.

O trzeciej Witold pojechał na lekcję do Janeczki.

Druga uczennica przyjęła go z rozkosznym uśmiechem i

rumieńcem. Witold uklonił się chłodno i uścisnął alabastrową dłoń, jak zwykle tylko grzecznie.

Ustawił model, objaśnił i usiadł obok. Janeczka wzięła ołówek do ręki, zrobiła parę nieokreślonych linii. W pewnym momencie zarzuciła ramiona ponad głowę i przegięła się w tył.

- Ach!... Nie chce mi się dziś rysować... Wolę marzyć. Chcę też wspominać...

- Za godzinę będzie pani wolna - zauważył Witold.

Janeczka, jakby nie słysząc, przysunęła się bliźiutko i położyła złotą główkę na jego ramieniu.

- Bardzo pan kocha Janeczkę? Nie czekając odpowiedzi spytała, zajrzawszy mu wymownie w oczy:

- Pamiętasz tamten wieczór? Wstał.

- Pamiętam! Ale to był wieczór, dziś jest dzień. Pamiętam i to, że piliśmy dużo wina i byłem trochę nieprzytomny... Ja... nie kocham pani, nie kochałem nigdy. Proszę mi wybaczyć...

Janeczkę o mało krew nie zalała. Przez moment wyglądała jak miły pokojowy kot, którego nagle w nos użądliła osa. Potem taka prychająca wybuchnęła szyderczą złością:

- Jak pan jednak dał z siebie zakpić, panie malarzu... Ha, ha... ha... To był świetny kawał! Rosowska i jakiś tam studencik... Wspaniale!

Popatrzyła na swoje paznokcie.

- Zauważyłam też, że z pańskich lekcji odniosłam już tyle korzyści, że nie potrzebuje się pan nadal trudzić. Należność przyślę.

- Niech się pani nie fatyguje. Pieniądze te przeznaczam na założenie klubu rozpróżnionych starzejących się panien, które szukają studencików dla wymiany spojrzeń i pocałunków... - skłonił się i wyszedł, a Janka rzuciła się na kozetkę i zacisnąwszy pięści biła nimi biedny mebel.

Wreszcie, wyciągnąwszy przed siebie teatralnym gestem dłoń, przysięgła mówiąc przez zęby:

- Czekaj, ty kudłata! Ja ci zapłacę...

## ROZDZIAŁ VII

Baron z Januszem siedzieli po śniadaniu na tarasie.

Starszy pan czytał gazetę, młody patrzył w ogród.

- Wie ojciec co? Ja się chyba ożenię.

- Bardzo dobrze zrobisz... żeń się - odparł baron z nosem w piśmie.

- Właśnie mam zamiar ożenić się z Itą.

- Jak? Z kim?

- No, z Itą Kruszyńską. Ziemski odłożył gazetę, wyjął fajkę z zębów, oparł ręce na kolanach i powiedział spokojnie:

- Słuchaj, Janusz, zauważyłem, że jesteś czasem niepoczytalny, ale nigdy nie myślałem, że aż tak... Żenić się nie zabraniam... Nie będę przynajmniej potrzebował utrzymywać dziewięćdziesięciu twoich kochanek, ale wybierz sobie kobietę inną. Może być w rodzaju panny Rosowskiej... a nawet choćby i ona, bo widziałem, jak jej grubo nadskakiwałeś. Ale ty chcesz brać takie cudowne dziecko, taki świeży kwiat, nie wstyd ci?

- E... co tam ojciec wie... Właśnie dlatego, że jest taka świeża... Właśnie dlatego...

- Ależ...

- Niech ojciec nie przerywa. Miałem i znałem już wiele kobiet, jak ojciec trafnie zauważył. Prawie wszystkie miały jakieś tęsknoty, jakiś tam pęd poziomy lub ideały górne. Jedne szukały miłości wielkiej i prawdziwej, a więc przechodziły z ramion w ramiona. Drugie plotły o harmonii i sympatii dusz, więc z jednym zamieniały

pocałunki, z drugim uściski, a jak trafiły na przystojniejszego i sprytniejszego, to mu się oddawały. Inne znów miały anielskie serca i nie chciały cierpień bliźniego, więc pocieszały na prawo i lewo... I wreszcie te najgorsze były stworzone do wielkich i świętych celów, ale w rezultacie osiągały cel... w łóżku. Och, jak one wszystkie mi zbrzydły.

Taka Janeczka na przykład. Plotła mi trzy po trzy o swej wrażliwości na piękno i estetykę, a ja raz, przypadkiem będąc u Rosowskiego, zobaczyłem ją rano koło dziesiątej.

Była w eleganckim negliżu, ale nie wyglądała świeżo bez makijażu, z głową pełną papilotów, z książką w jednej, a czekoladką w drugiej ręce... Mało mnie szlag nie trafił.

To znów szliśmy nie tak dawno na spacer. Po drodze zaplątał się jej pod nogi jakiś umorusany bachor. Odtrąciła go wściekle, bo dotknął brudną łapką eleganckiej sukni, a potem rzekła z uśmiechem:

- Wie pan, szalenie razi mnie taki brud. Widok tych smoluchów sprawia mi po prostu fizyczny ból. Jestem może zbyt wielką estetką... Powinnam żyć w czasach Petroniusza.

A teraz weźmy Itę.

Gdy szliśmy w dość licznym towarzystwie na Paraszkę, ujrzałem ją pierwszy raz. Była boso, w króciutkiej, lichej sukieneczynie, z wiankiem na włosach, które dotąd nie wiedzą, co to papiloty i rurki. A jakże była urocza... Aż mnie na samo wspomnienie... No mniejsza z tym... Ona nie potrzebuje zlewać się wonnościami, bo i tak pachnie lasem i łąką.



Przed kilkoma dniami ona, Ela i ja wracaliśmy ze spaceru. Szliśmy ścierniskiem... Wtem na drodze usłyszeliśmy nieludzki wrzask. Na ściernisko, prosto na nas wleciało jakieś okropne psisko z podwiniętym ogonem. Za nim pędziła zgraja bachorów, rzucających w psiaka kamieniami i drących się wniebogłosy. Nim zdołałem się opamiętać, Ita podbiegła naprzód i zagroziła psu drogę. Ten zaś, ostatkiem sił widać goniący, wywrócił się u jej nóg.

- Wściekły, wściekły! - darły się brudasy. Ale Ita wzięła zwierzę troskliwie na rękę, otuliła uniesioną sukienką i, choć widać jej było haleczkę, szła ze spokojem wielkiej damy, chroniąc sparszywiałego, ledwo żywego psiaka.

Wtedy stanęła mi w oczach scena z Janeczką i dzieckiem.

Widziałem ją tu u nas, jak się bawiła... Ita w swoim kostiumie Rusałki z obnażonymi nogami i ramionami mniej była wyzywająca niż inne, niż panna Janeczka, która swe klasyczne ramiona wystawiała na pokaz. Ita zachowywała się tak, jakby miała zwykłą sukienkę. Janeczka... e... sam ojciec widział, jak się gięła i manewrowała figurą, jak szukała najkorzystniejszych póz. Przedwczoraj Ita pokazywała mi swój pokoik. Z jakim prostym wdziękiem tam się obracała, taka śliczna z tą dumną, zachwyconą minką... Nic sztucznego, nic robionego.

I wiem, że jak się z nią ożenię, będzie mi za wszystko wdzięczna i wierna jak pies... Wiem także, że nie będę miał ani jednego przyjaciela domu, ani jednego pocieszyciela nie zrozumianej żony. Ona nie ma nieokreślonych tęsknot i górnych aspiracji. Jak raz

pokocho, to na zawsze, a gdyby... gdyby nawet kochać przestała, to będzie wierna, bo jest uczciwa... na wskroś uczciwa... I to jeszcze wiem, że nie będę chodził w podartych skarpetkach. Jak przyjdę do domu, nie usłyszę opowiadań o tęsknocie do innego życia, ale zastanę ciepły, miły kąć i dziewczynę, co mi należe herbaty ciepłymi łapkami, moją żonę... Jak się rozgniewa, nie robi miny sfinksa i oczu mordowanego cielęcia, tylko uderzy pięścią w stół i „wygarnie”, jak ona to nazywa, wszystko, co ma na sercu.

Umilkł i spacerował po tarasie. Baron patrzył za nim uważnie, wreszcie po dość długiej chwili odezwał się:

- Tyś chyba jeszcze nigdy w życiu tak dużo i tak dobrze nie powiedział, co?

- E, ojciec kpi... Ja mówię prawdę...

- Nie kpię, ale co ty jej, zgniłku jeden, dasz za tę młodość, prawość, urodę i wierność, hę...? Czy pieszczoty, pachnące wspomnieniem dziewięćdziesięciu dziewięciu poprzedniczek?

- Dam jej dobrobyt i miłość, bo ją kocham.

- Na dobrobyt ona gwizdże... A miłość? Czy ona cię kocha?

- Ale może pokochać...

- „Może” jest szerokie i głębokie. Radzę ci serdecznie szukać powodzenia gdzie indziej.

- Jednak ja się oświadczę.

- A czyż ci bronię? Tylko żal mi cię, boś, widzę, dość głęboko w Kruszelnicy.

- To widać rodzinne. Stary zaczerwienił się.

- No, no, smarkaczu, bez głupstw.
- Zatem jutro jadę się oświadczyć.
- Czemu nie dziś?
- Dziś chcę być we Lwowie, w kalotechnice, u masażysty.
- Za moich czasów nie znano takich bzdur.
- Mój ojciec, to jest wiek dwudziesty.
- Wiem, wiem... niedługo nawet kochać się będziecie maszynkami, bo wam sił nie starczy - mruknął baron.

Janusz, pogwizdując, poszedł się ubierać.

Tego samego dnia po obiedzie Witold zwrócił się do Ity, patrzącej nań teraz jak dawniej zielonymi płomykami:

- Panno Ito, chodźmy na orzechy do lasu.

Spojrzała gniewnie i smutno zarazem.

- Ze mną? Do lasu? Panna Janeczka czeka.

- Panna Janeczka już nie czeka, przestałem udzielać tam lekcji.

Icie nagle serduszko zaczęło trzepotać tak głośno, że usłyszał to Witold... I stali teraz oboje naprzeciw siebie, nie wiedząc, co myśleć i mówić. Wreszcie Icie wraz z falą purpury na twarzy powrócił i głos, ale łomotem krwi stłumiony:

- Dlaczego? A Witold wziął ją za rękę i zaczął opowiadać przeżycia pamiętnego wieczoru i wielu innych dni. Mówił o swojej rozpacz, gdy zdawało mu się, że ją, Itę, stracił, a wściekłe pragnienie zapomnienia i ślepej zazdrości źle pokierowało jego krokami. Znając Itę powinien wiedzieć o jej prawdziwych uczuciach. Winił się za wszystko złe, co między nimi zaszło. Zaczął wreszcie opowiadać o

Janeczce, ale tym razem Ita przerwała:

- Wiem... widziałam... Obejmowała pana za szyję, a pan...

- A ja zdjąłem te ręce i uciekłem.

- Naprawdę?

- Ito, nie wierzysz? Milczała, a on znów mówił dalej. W końcu z ulgą zakończył relację z ostatniej wizyty u Janeczki.

Znów spłynęła między nich cisza, choć Icie chciało się rozkrzyczeć swą radość i triumf... Cały żal, nienawiść i nieufność do Witolda utonęły teraz w wirującym tumanie nad podziw wielkiego szczęścia, rozwiewającego wszystkie cierpienia i ból. Znowu wypełniła ją tylko miłość do korzącego się Witolda. Jednak szepnęła tylko:

- Dobrze. To dobrze. - Wyszła z gabinetu, zostawiając Witolda oczyszczonego, ale nadal nie wiedzącego, co ona myśli.

Wieczorem na twarz śpiącego Witolda upadł pęk wonnych, wilgotnych róż.

## ROZDZIAŁ VIII

Młody baron po rozmowie z panem Kruszyńskim wszedł do pokoju panienki.

Deszcz lał jak z cebra... Ita siedziała zwinięta w kłębuszek na fotelu i zawzięcie studiowała Asnyka.

- Panno Ito, czy pani chce zostać moją żoną? - zapytał po przywitaniu.

- Żoną? Pana żoną? Nie - odparła spokojnie.

- Dlaczego?

- Z wielu powodów.

- Niech pani powie, może się da coś zmienić... Niech pani powie - prosił gorąco.

- Zaraz... aha... bo ja sobie już dawno myślałam, co to by było, gdybym się też miała żenić jak Kasia. Kasia bierze Iwana, bo go lubi, bo chłop silny jak koń... no i ładny... Paraska jeszcze wciąż po nim płacze, choć wszystkie sukienki oddałam jej, a nie Kasi. Ale ja chcę mieć innego niż pan męża. Pragnę go kochać jak ojca, jak Antka, jak Elę, jak las i jak słońce, jak wszystko. Ale zarazem chcę, żeby istniał tylko on jeden... No i chciałabym z nim mieć dzieci... A pana lubię bardzo, ale niech pan sobie poszuka innej, bo ja już sama wybiorę męża.

Janusz spuścił głowę, a potem pocałował Itę w rękę... Pobladł i milczał. Mówić tutaj nie było co...

- Panie Januszu! Niech się pan ożeni, zawsze we dwoje przyjemniej, tylko nie z Janeczką, dobrze?

A gdy wieczorem Janusz spotkał ojca, ten spytał:

- No i cóż...?

- E... dureń jestem!

- O... to... to... Niechże cię uściskam, synu. Chodź tutaj.

- Ojcu zawsze kpiny w głowie, a mnie diabli biorą.

- Jak Boga kocham, nie kpię!

Chodź no tu!

Janusz zbliżył się, a baron pocałował go serdecznie w czoło i policzek.

Upłynęło wiele dni. Zbliżał się czas wyjazdu Witolda. Ita smutniała, ale nie mówiła nigdy o swej miłości. Witold też bał się tego tematu. Znow chodzili na spacer, znow uczennica jego była szczerą, wspaniałą dziewczyną... On jednak z rozpaczą myślał, że musi odjechać z wątpliwością w sercu.

Pewnego dnia o zachodzie słońca na werandzie kruszelnickiego dworku siedziały Ita z Elą nad stołem zarzuconym białym materiałem. Szyły wyprawkę dla maleństwa Paraski. Witold malował... Antek rzeźbił ramki do portretu Ity, a Janusz siedział na schodach werandy i wpatrywał się w panienkę, która właśnie mówiła:

- Bo widzisz, Elu, jak myślę, że jak kobieta kocha, to musi pragnąć dziecka... Stworzyć coś z miłości. Przecież i Bóg stworzył świat, żeby miał co kochać z wzajemnością. A gdy człowiek umrze i nie zostawi nic po sobie, jak to źle... Zostawić swoją cząsteczkę na ziemi to przecież największe szczęście. Więc choć nawet Paraska laźła sama do Iwana, to zapłaciła za to cierpieniem. On, drań, rzucił ją,

ale ona ma nagrodę... ma dziecko, nie umrze zapomniana. I ja sobie myślę, że większy wstyd jest rzucić dziecko na zgubę, niż być panną z dzieckiem...

Janusz słuchał z uwagą tych prostych, szczerych słów. Znowu uderzyła go różnica między Janeczką i Itą. Tamtej nic podobnego nie przeszłoby przez gardło... O ile ta dziewczyna była więcej warta, o ile była moralnie bielsza...

A tymczasem Janeczka nie traciła ani chwili. Jeździła w odwiedziny do całej śmietanki towarzyskiej. Składała wizyty nawet tym, u których nigdy nie bywała, uważając za coś gorszego.

Najpierw zajechała do państwa Radomskich. Mama Radomska przylepiła na pulchną twarz uśmiech radosnego zdziwienia. Córki też były rade, bo ostatnio nic się nie działo.

Panna Janeczka długo spacerowała z nimi po ogródku. Wreszcie, gdy siostry protestowały niekiedy, nie dając się przekonać, zakończyła ożywioną rozmowę:

- Toteż radzę wam serdecznie, nie wierzcie jej... Jeśli śmiała takie głupstwa o was opowiadać, nie powinniście nawet spojrzeć na nią.

Jakby niepewna rezultatu, zamknęła się potem z mamą Radomską w salonie.

Po wyjeździe Janeczki mama rzekła do córek:

- Żebyście mi nie ważyły się ukłonić tej bezwstydnej Kruszyńskiej.

W niedzielę po nabożeństwie Ita, idąc z Antkiem pod rękę,

kiwnęła wesoło w stronę sióstr Radomskich. Kiedy one nie odpowiedziały na ukłon, puściła Antka i podbiegła do nich, myśląc, że jej nie zauważyły.

Wtedy zbliżyła się do niej mama i ostrym, głośnym szeptem zapowiedziała:

- Radzę pani nie zbliżać się do moich córek, to nie dla nich towarzystwo, bezczelna bezwstydnico.

Ita zbladła. Ręce jej opadły, ale prawie natychmiast hardo podniosła główkę.

- Pani jest wstrętną, fałszywą babą - powiedziawszy to odwróciła się i poszła w stronę powozu.

Koło pani Radomskiej, gestykującej kładowymi rękami, zebrała się grupka pań, słuchających jakichś z wściekłą pasją wypowiedzianych słów.

Panie patrzyły na Itę wsiadającą już do powozu i kiwały głowami jak stare czaple.

- Ita... co się tam stało? - dopytywano w powozie. - Może powiedziałaś jakie głupstwo?

- Nie... Nic się nie stało... Nie pytajcie... To nic ważnego.

Na drugą niedzielę nie ukłoniła się Icie żadna znajoma z wieczorku panienka. Hali i Ninki nie było, bo wyjechały do Lwowa. Ita miała wrażenie, że jest wyklęta. Nikt z najbliższych nie wiedział jednak za co.

Janeczka promieniała zadowoleniem i strzelała triumfującymi oczami...



Po namyśle Ita w następną niedzielę nie pojechała do kościoła. Nie mogąc sobie poradzić z nową udręką zapytała Witolda:

- Pan widział wszystko?

- Tak, Ituś...

- Czemu jest tak?

- Zazdroszczą ci... i wściekają się ze złości - odparł. Czuł, że sprężyną wydarzeń jest Janeczka, ale pewności nie miał.

Aż któregoś popołudnia Ela, będąc z Antkiem i Januszem w Skolu, wstąpiła do Janeczki.

- Czegóż to pan Janusz taki mizerny? - spytała panna, gdy panowie wyszli obejrzeć rasowe króliki pana Rosowskiego.

- Zawód miłosny... Oświadczył się Icie i dostał kosza.

Janeczka milczała przez chwilę, a potem od niechcienia oznajmiła ze zrozumieniem:

- To on dlatego tak z panem Antonim się trzyma... Tamten też dostał kosza ode mnie!

- Ach, Boże! - pomyślała sparaliżowana wiadomością Ela, lecz spytała matowym, spokojnym głosem:

- Kiedyż to?

- E... zabawna historia... Nudził mnie, więc go odprawiłam. On wtedy powiedział: Nie pozwoli mi pani ożenić się z miłości... Dobrze. Ożenię się teraz z jaką milionerką, zdobędę pieniądze...

Panna Ela miała twarzyczkę jak pergamin, ale pożegnała Janeczkę grzecznie i spokojnie. W Kruszelnicy wysiadła z auta. Przed rozstaniem zwróciła się do narzeczonego:

- Panie Antoni, zawiodłam się na panu... Nie kocham pana i nie wspominajmy już o tym nigdy... Żegnam pana.

Antek otworzył szeroko oczy. Popatrzył chwilę. Ukłonił się bez słowa i odszedł. Tej nocy żadne z nich nie spało.

Czas leciał szybko obojętny na burze i niepokoje. W ogrodzie Eli przekwitły ostatnie róże i spadające liście świeciły w powietrzu bladymi płomykami. Coraz częściej wokół królowała nieuchwytna zaduma. Jesień wkroczyła z najsubtelniejszą wonią astrów i nastrojem niemych pożegnań.

Ela, mizerniejsza niż zwykle, siedziała ze swą pupilką w małym złoconym saloniku. Ita miała zbiedzony, smutny wyraz oczu i bladą buzię.

- A więc, Ituś, idziesz na bal stanowczo. Nie możesz być ciągle niepocieszoną wdową... Witold przyjedzie na gwiazdkę, to cię nie pozna, brzydalu jeden.

- Dobrze, Elu, pójdę.

- Oczywiście pamiętaj, że ja idę tylko dla ciebie, bo chcę byś się trochę rozerwała, kociaku.

- Elusia! Kocham cię bardzo. Ela ucałowała smutne oczy przyjaciółki, która kolejny raz zapytała:

- Elusiu, powiedz wreszcie, coś ty zrobiła Antkowi...? On taki smutny. Nie chce tu wcale przyjechać.

- Taka sobie mała sprzeczka i dąsy... To nic, Ituś... Ale ty pamiętaj, gdy twój Witold wróci, powiesz mu, że go kochasz. Będziecie na pewno szczęśliwi... - Głos panienki zadrżał, więc szybko

zmieniła temat: - A teraz musimy obmyślić kostium, bo to przecież bal maskowy. Musisz wyglądać najładniej. - Popatrzyła chwilę na leżące przed nimi zaproszenie, a potem zapytała cicho:

- Ita, przepraszam, że pytam... czy... czy pocałowaliście się z Witoldem na pożegnanie?

- Nie, pocałował tylko moje ręce. Powiedział: Do widzenia, moja maleńka, dzika dziewczyno. Pisz do mnie... Pisz do mnie... - Buzia Ity wygięła się w podkówkę. Dodała jeszcze: - Potem powiedział, że na Boże Narodzenie przyjedzie... I pojechał, i zostałam sama.

Rozszlochała się na dobre.

- No, kiedy jesteś taka beksa, to idź sobie - fuknęła Ela ostro, ale przytuliła dziewczynę i wtedy także z jej oczu spłynęły dwie duże łzy.

Bal jesienny oficerów garnizonu w Stryju był zawsze wspaniałą atrakcją. Bawiono się tu znakomicie.

Różnokolorowy tłum. Moc światła. Woń perfum i kwiatów. Wyborowa orkiestra. Wielu przystojnych i interesujących oficerów... Warunki do zabawy wspaniałe. Tańczono na zabój. Flirtowano nie mniej gorąco.

Janeczka w kostiumie nocy była olśniewająca. Stale oblężona tańczyła bez ustanku. O dwunastej zjawily się na sali dwie postacie: kolombina i ciemnobrązowe domino. Ona - drobna, o prześlicznej figurce, maleńkich stopach i rękach, w króciutkiej z kolorowych tiulów sukience, ozdobionej pomponami... Głowę jej nakrywał fantyzyjny kapelusik, spod którego wyglądały filuternie schowane

loczki. Domino przyciągało wzrok eleganckimi, ładnymi ruchami i spokojnym, pewnym siebie zachowaniem. Nie odstępowało uroczej kolombinki, widocznie zupełnie oszołomionej.

Nim upłynęła godzina, kolombinka była otoczona, zasypana sekretnikami i rozrywana w tańcu. Tańczyła leciutko, na paluszkach, z motylim wdziękiem, choć czasem w nowomodnych tańcach plątał się jej rytm. Nikt nie znał kolombinki. Ona tymczasem każdemu szepnęła coś dowcipnego, czarowała wdziękiem i oryginalnością. Zainteresowanie nią rosło. Mur otaczający maskę w kostiumie pięknej nocy topniał, za to kolombinka ruszyć się literalnie nie mogła.

Wreszcie nastąpił kulminacyjny moment balu.

- Prosimy śliczną kolombinkę o zdjęcie maski! - zażądano.

Wkrótce prośby te poparto gromkim krzykiem na takty:

- My chcemy ko - lom - bin - ki!

- Zdjąć ma - secz - kę! Zdjąć ma - secz - kę!

Domino skinęło głową i kolombinka zrzuciła maskę, wycierając czym prędzej zgrzaną buzię chusteczką. Błysnęły szafirowozielone oczy. Uśmiechnęła się okrągława dziecinna buzia z leciutko zadartym noskiem.

Porucznik Stach i Karol porwali Itę na ręce.

- Niech żyje śliczna, mała kolombinka... - krzyczano bez opamiętania.

Potem tańce... potem wino... potem porywana z rąk do rąk Ita, zgrzana, zmęczona, ale szczęśliwa, uciekła na chwilę do garderoby. Zetknęła się tam oko w oko z Janeczką.

- No i cóż, mały głuptasie? - spytała ta pogardliwie.

- No i nic... bawię się, a ty siedzisz jak stara kwoka na jajkach - rzuciła Ita ze śmiechem.

- Siedzę, bo chcę... rozumiesz? A ty myślisz, że baronówna z miłości do ciebie włóczy się po balach i stroi... Ach, ty głupia, głupia i ślepa!

Spytaj się jej, o czym rozmawiała ze mną dwa tygodnie temu...  
Spytaj! Zobaczysz, jak się zmiesza... Chcesz? Powiem ci.

Ita stała bez ruchu. Nie zważając na nią, Janeczka ciągnęła:

- Dość już mam tej idiotycznej małej i tylko dla Antka to robię, że się nią zajmuję... Widzisz? O Antka chodzi brzydkiej pannie. Ciągnie go do siebie, czym może... A ty, ty wierzysz, że cię kochają... ci wszyscy, co na twoją cześć wznoszą okrzyki. Dla baronówny to robią, bo bogata, a potem wyśmiewają cię! - Janeczka zachichotała sama szyderczo i gniewnie odwróciła się.

Icie zakręciło się w głowie, podeszła do drzwi, otworzyła je szybko i przez tłum docisnęła się do Eli.

- Elu, czy przypominasz sobie rozmowę z Janeczką, gdyś u niej była? - spytała, biorąc baronównę za rękę.

Ręka Eli drgnęła.

- Skąd to wiesz...? Ita roześmiała się nienaturalnie... Usłyszała znów głos Janki... jakieś dzwonięcie... Zdało się jej, że owija ją ktoś w watę...

Ocknęła się w samochodzie i od razu ujrzała zatroskaną twarz Eli i porucznika.

- Ituś, kochanie, co tobie?

- Nie odzywaj się do mnie! Nie chcę cię znać! I ty łżesz, łżesz jak wszyscy! Nie dotykaj mnie! Idź sobie... Nie jesteś moja! - słowa wyrywały się dziewczynie bolesnym krzykiem.

Porucznik zaniósł prawie nieprzytomną do dworku. Wybiegł wpół ubrany Antek, zbudzony głosem trąbki samochodowej.

- Co się stało?! - krzyknął.

- Nie wiem, musisz z nią pomówić, niech się wpierw uspokoi. Zdaje się, że jakaś scena z Janeczką - mówił porucznik do Antka, który ułożył siostrę na kanapce. - Dobranoc... Rano tu wpadnę, jeżeli będę mógł.

Antek usiadł przy zanoszącej się od płaczu dziewczynie i gładził jej włosy.

- Idź precz! Idź do swojej Eli! Nie chcę was znać...

- Panna Ela nie jest już moja... Nie wiesz o tym?

Zerwała się... z mokrą od łez twarzą, z włosami w nieładzie... w połowie szloch... Obraz rozpaczy...

- Jak to? Jak to?

- Zauważyłaś, że nie bywam tam od dwóch czy trzech tygodni...? Zwróciła mi słowo. Nie chce mnie.

- Ona... ciebie... nie chce?

- Tak, siostrzyczko... Trudno! Ita znów w płacz.

- Boże mój! Czy jestem pijana? Czy wydało mi się? Janeczka... panna Janeczka... powiedziała, że...

Antek skoczył, jak ukłuty szpilką.

- Kto? Kto ci mówił? Co?!

- ...że Ela dla mnie taka dobra, bo ciebie chce przyciągnąć... że ma mnie dosyć... Wtedy Janeczce to mówiła, kiedy przyjechała do niej...

Odetchnęła i patrzyła rozszerzonymi oczami na brata, który biegał, roztrącając krzesła i wykrzykując:

- To jej robota! Bydlę! Bydlę, psiakrew! Dlaczego się też od razu nie domyśliłem... Ita, nie becz! Wszystko będzie dobrze! Nie becz! Jedziemy zaraz rano do Elusi... Mała, no, nie płacz!

Taka była oszołomiona, że pozwoliła zdjąć sobie pantofelki i przykryć się pledem. W parę minut potem już spała.

Zaledwie o ósmej Antek wpadł do jej pokoju z płaszczem w ręku.

- Chodź prędziutko! - Narzucił na ramiona siostry płaszcz. - Jedziemy do Eli... Tam się wszystko wyjaśni.

Całą drogę milczeli oboje. Na tarasie wpadli na lokaja.

- Panienska śpi? - rzucił Antek.

- Nie, w ogrodzie - odpowiedział służący zdumiony.

Ciągnąc Itę za rękę, Antek pędził przez ogród. Wreszcie zobaczył Elę nad stawem.

- Panno Elu! - krzyknął biegnąc. - Elusiu!

Drgnęła, spłoszonoła na widok Antka, ale szła naprzeciw.

- Ituś najdroższa... co to było wczoraj? - spytała łagodnie, obejmując przyjaciółkę.

- Ita! - krzyczał prawie Antek. - Mów! Mów wszystko, co ci ta

idiotka naplotła.

W miarę opowiadania dziewczyny Ela bladła, a w końcu rzekła z bolesnym wyrzutem:

- Jak mogłaś wierzyć, Ituś!

- A teraz pani, niech pani powie, o czym mówiłyście z Janeczką... Prędeż! Prędeż! Na Boga!

- Mówiła, że pan się jej oświadczył, a gdy odrzuciła pana, pan powiedział, że... że... - tu biedna Ela zaczęła się jąkać... - że ożeni się pan z inną dla pieniędzy... - wykrztusiła wreszcie.

- I pani się dziwi, że niedoświadczony dzieciak słuchał takich bredni... A sama?! Jak ci nie wstyd, Elu... moja Elu! - Nie krępując się siostry, chwycił drżącą, bladą dziewczynę w ramiona i całował długo i gorąco.

W godzinę potem siedzieli przy stole, pijąc herbatę. Janusz, który z powodu lekkiej niedyspozycji nie był na balu, nie wiedział do tej pory o zajściu. Słuchał więc ciekawie opowiadania Eli... W trakcie rozmowy przyjechał konno porucznik Stach.

- Byłem w Kruszelnicy, ale powiedzieli mi, że wyjechaliście. Domyśliłem się, że jesteście tutaj. Byłem bardzo niespokojny... - mówił, witając się.

Ela, zaróżowiona, z błyszczącymi oczami, ładna jak nigdy, odparła:

- Bardzo się cieszę, że jesteśmy w naszym kółeczku dzisiaj. Szkoda tylko, że nie ma reszty „wtajemniczonych”.

- Karol mówił mi, że ma zamiar być u państwa przed



wieczorem... Był też zaniepokojony tą tajemniczą sprawą. Jutro wyjeżdża już do Warszawy.

- Rozleciało się nasze gronko... Na święta zobaczymy się jednak znowu i spędzimy parę sympatycznych chwil razem. A tymczasem opowiem panu historię rozpaczy Ity.

- Otóż panna Rosowska w garderobie nagadała jej niemożliwych bredni, które ta poważnie myśląca osóbką wzięła na serio. Powtórzyć tych głupstw nie mogę, trzeba by jednak zwrócić uwagę pięknej Jance na niewłaściwość jej postępowania.

- Dlaczego pani nie chce ujawnić rozmowy panny Rosowskiej z siostrą? - zapytał Antek. - Uważam, że tu skrępowanie w grę wchodzić nie powinno i śmiało powtórzę wszystko Stachowi.

Porucznik słuchał opowiadania ze zdumieniem, a Kruszyński kończył:

- ...chciałem zaręczyny nasze trzymać w tajemnicy, teraz jestem przeciwnego zdania. Pragnę, by cały świat, a w pierwszym rzędzie Janeczka dowiedziała się, że panna Ela jest moją narzeczoną.

A gdy Janusz i porucznik składali życzenia młodej parze, Ita siedziała spokojnie na krzeselku i patrzyła w dal. Po przybladłej buzi płynęły łzy... Otarła je machinalnie trzymaną w ręku serwetką.

- Ile zła może spowodować jedna pusta, zazdrosna pannica - rzekł porucznik, patrząc na Itę.

- Mnie żal panny Janeczki...

Jej musi być przykro, że jej nikt naprawdę nie kocha, bo z tych słodkich słówek i bujania panów, to nic nie ma... Więc złości się, że

nie ma dla kogo żyć...

- Moja Itusko... tą drogą miłości nikt nie szuka. Każdy człowiek ma przeznaczone szczęście, na które czeka z tęsknotą i nieraz bardzo długo... Ale czekać trzeba cierpliwie i ufać, że przyjść musi... Kto chce wyrwać losowi część nie dla siebie przeznaczoną, źle czyni. Kradzione szczęście mści się prędzej czy później, zostawiając tylko posmak goryczy.

- Jakaś ty strasznie mądra, Elu...

- Nie, kochana, tylko troszkę starsza od pewnej spazmującej kolombinki.

- Antek, jeśli chcesz, by cały świat wiedział o twym triumfie, to wyprawcie z Elą ucztę zaręczynową i zaproście uroczyście mamę Radomską z córkami - roześmiał się Janusz.

W tej chwili Ita zerwała się zaczerwieniona i krzyknęła:

- Nie! Nie! Radomskiej nie!

- Co się stało, Ita... co to znowu za nowa historia?

- Ona powiedziała do mnie „bezczelna bezwstydnica”.

Okrzyk zgrozy i zdumienia uderzył w szyby salonu.

- Miałam nikomu o tym nie mówić, ale teraz pomyślałam, że najlepiej wszystko wygarnąć od razu... Nie mam po co ukrywać. Nie jestem przecież winna, bo nic im nie zrobiłam.

- Kiedy to było? Czy nie w pewną niedzielę jakiś miesiąc temu?

- zapytał Antek.

- Tak!

- Czułem, że coś zaszło między wami... Trzeba było bratu lub

komuś powiedzieć, Ito... Źle zrobiłaś... dziś jeszcze jadę do tej baby i zażadam wyjaśnienia.

- Pozwól, że pojedę z tobą - rzekł Janusz. - Moglibyśmy też wpaść do Janeczki i powiedzieć jej parę słów prawdy. Przydałoby się grzecznie ją poprosić, by nie zajmowała się tak gorliwie sprawami siostry mojej i kuzynki. Widząc zdumienie dodał:

- Panno Ito... Teraz przecie jesteśmy rodziną, w każdym razie będziemy nią w najbliższej przyszłości.

- No, moi złoci... Jaka to będzie scena u panny Rosowskiej. Rozpaczam, że nie będę świadkiem. Najpierw wzniesie oczy w górę... potem chwyci się za serce... potem zerknie, czy jest w pobliżu coś miękkiego i wreszcie... zemdleje przechyliwszy wdzięcznie postać w okolice waszych ramion... - żartował porucznik. W ten sposób stało się jasne, że sztuczki Janki nie były otoczeniu obce.

Młodzież śmiała się, ale baronówna rzekła poważnie po chwili milczenia:

- Wiecie co? Dajmy pokój panie Rosowskiej. Jakoś to niezbyt rycersko jechać we dwóch i prawić kobiecie morały... Może najlepszą karą dla niej będzie przejście do porządku dziennego nad całą tą sprawą. Możemy najwyżej dać jej do zrozumienia, że całą intrygę traktuje się lekko, jak nieudany żart. Co innego z panią Radomską. Tu należy sprawę wyświecić, choć mam jakieś przeczucie, że i za tym stoi panna Janina...

- Janusz... Tyś uwielbiał demoniczne kobiety... Powinieneś teraz kadzidło u nóg boskiej Janeczki zapalić...

- E, taki demonizm! Strasznie pośledniego gatunku. Pierwsza lepsza baba ze wsi potrafi plotek narobić... Fe! Prowincją czuć! Nie lubię!

- Wobec tego żegnam, bo mnie jeszcze do raportu wpakują - mówił porucznik. - Myślę, że w niedzielę spotkamy się znów wszyscy po nabożeństwie... Panno Elu! Niechże pani zdecyduje się raz ukazać tłumowi...

- Nie lubię niedzielnego nabożeństwa tutaj... Wydaje mi się profanacją. Tu prócz ludu nikt się nie modli. Obserwują, krytykują, sieją nowinki, ploteczki. Trudno się skupić w takich warunkach.

- Ale ten jedyny razik pani będzie, Elu, dobrze? - wtrącił Antek.

- Ten jedyny razik będę.

- A więc i ja się pożegnam... Chcę pomóc ojcu w kancelarii, a potem pojechać z miłą wizytą.

- Ita zostanie, prawda? Mamy przecież lekcję francuskiego i muzyki - rzekła Ela.

W kwadrans potem Ita, z fantazją kiwając nogami, recytowała francuskie słówka.

Kiedy Antek wszedł do salonu pani Radomskiej, ta przymrużyła dystyngowanie oczy. Wskazując krzesło, rzekła protekcjonalnym tonem:

- Niech pan spocznie... Czym mogę służyć?

- Zasadniczo chodzi mi tylko o króciutkie wyjaśnienie, dlaczego to szanowna pani była łaskawa nazwać moją siostrę „bezczelną bezwstydnicą”?

- Nie uważam za stosowne dawać wyjaśnień ludziom tak młodym - wycedziła, czerwieniąc się.

- Szanowna pani! Absolutnie mnie nie obchodzi, co pani uważa za stosowne... Przyjechałem tu w imieniu ojca, chyba że szanowna pani woli, by tę sprawę załatwić inaczej.

Radomska zerwała się.

- Co? Pan mi grozi? Ja się nikogo nie boję... Wszyscy wiedzą, co za numer z pana siostry... Jakie głupstwa plotła o moich niewinnych panienkach. A co to było w parku u baronów? Nie całowała się z każdym mężczyzną? Nie biegała prawie naga po ogrodzie? Szczęściem, że moje córki tego nie zauważyły... Pan jeszcze chce, bym pozwoliła im przestawać w towarzystwie takiej? Ta cała baronówna zgłupiała do reszty..., a młody kpi sobie z pańskiej siostry... Nie mogę nawet mówić, co się tam jeszcze działo! - wykrzykiwała z pasją, miotając pulchną figurą. Antek siedział spokojnie, ale był wściekły. Zacinał tylko usta, żeby nie palnąć czego babie. Opanował się.

- Tak?! Szanowna pani to wszystko widziała?

- Nie potrzeba widzieć, żeby wiedzieć... Mówiła mi o tym bardzo dystyngowana i poważna osoba, której zależy na tym, by jej przyjaciółki miały dobre towarzystwo. Moje córki tyle czasu w świecie bywają i nikt ich na rękach nie nosił, bo to wstyd... Nie były też przez żadne zwariowane magnatki protegowane...

- Szanowna pani może będzie łaskawa zaniechać wtrącania do rozmowy osoby mojej narzeczonej...

Mama Radomska wstrzymała oddech.

- Ach... tak... - wycedziła wreszcie. - Rozumiem!

- A teraz może pani będzie łaskawa wysłuchać, co mam jej do zakomunikowania. Otóż to wszystko, czego się od szanownej pani dowiedziałem, jest kłamstwem, które wymyśliła panna Rosowska. Nic podobnego na zabawie u państwa Ziemskich nie zaszło, wobec czego w imieniu ojca proszę o satysfakcję - i to publiczną. W przeciwnym razie sprawa oprze się o sąd...

Pani Radomska siedziała na krześle z otwartymi ustami. Opuściła pulchne ręce, a z czerwonej twarzy nie znikął wyraz tępego zdumienia... Gdy minęło pierwsze wrażenie, podskoczyła jak na sprężynie i znowu uruchomiła ramiona.

- Panna Rosowska jest za poważna na to, by wymyślać historyjki i nie pozwolę jej obrażać jako przyjaciółki mych córek.

- Proszę pani, nie będziemy się sprzeczać o powagę panny Rosowskiej. Ja powiedziałem swoje i żądam odpowiedzi... Czy pani decyduje się dać satysfakcję czy nie?

Wobec energicznej postawy młodego Kruszyńskiego mama zmiękła.

- Nie wiem sama, co o tym wszystkim sądzić?!

- Z kim siostra moja mówiła o córkach szanownej pani?

- Z panną Rosowską i z córkami sędziego.

- Proszę pani! Siostra nie mogła rozmawiać z panną Janiną, bo w ogóle ze sobą nie rozmawiają, a po zabawie nie widziały się wcale... Zaś córki sędziego? Zaraz... tak, one dwudziestego dziewiątego

wyjechały do Lwowa... Na Wszystkich Świętych, gdy przyjadą, poproszę, by powtórzyły, co to siostra do nich mówiła.

- Więc to wszystko miałoby być kłamstwem?

- Jak pani uważa... Moja rola już skończona... Żegnam panią!

Antek wyszedł, a pani Radomska co tchu pobiegła do pokoju córek. One zawsze nie bardzo chciały dokuczać Icie. Może w tym coś jest?

Janeczka zaś po balowej nocy czuła się bardzo nieswojo. Przede wszystkim zła była na matkę, że ta zauważyła przy śniadaniu:

- Janeczko, zdaje się, że mała Kruszyńska miała ogromne powodzenie... Opowiadały mi już panie, że to nie jest zbyt przyzwoita panna... Co ty sądzisz o niej?

- Taka sobie chamka, która dorwała się do salonu... - odparła córka, którą do żywego dotknęła wzmianka o powodzeniu Ity. Drugim powodem jej nieosobliwego humoru był lęk, że w szale złości nagadała bredni, które mogą się wyświecić... Sądziła jednak, że zręcznie intrygę poprowadziła. Co prawda nie spodziewała się Ity na balu. Gdyby taką ewentualność przewidziała, ułożyłaby sobie plan batalii. Chociaż i tak na pewno wszystko będzie jak trzeba. Podobno Ita zaraz odjechała, zemdlawszy ze zmęczenia. Janeczka tego nie widziała, gdyż musiała przypudrować się i uspokoić w garderobie.

- Z Itą odjechała i Ela. Więc między nimi nic nie zaszło - kombinowała, leżąc na kozetce i szlifując paznokcie. - Intryga z Radomskimi i resztą panien udała się natomiast znakomicie... - tego była pewna, bo przecież sama widziała porażkę Ity... - To chyba na

jaw nie wyjdzie - cieszyła się.

Pomimo wszystko Janeczka była tak zdenerwowana, że, bojąc się o cerę i wygląd, położyła się do łóżka i zapowiedziała służbie, że nie przyjmuje.

Nadeszła niedziela. Przed dziewiątą rano zajechał przed bramy kruszelnickiego dworku samochód Ziemskich. Ita, wystrojona w nowy, granatowy kostium z futerkami, biegła z ogrodu naprzeciw Eli.

- Elusiu! Elusiu! Masz tego białego... najładniejszy.

- Co mam? Jakiego białego?

- No, kotka się okociła w nocy. Jest sześcioro...

- Aha! Rozumiem i dziękuję, ale jeżeli chcesz jechać ze mną do kościoła, to się oczyść... ty dorosła panno!

Granatowy kostium nosił bardzo widoczne ślady wizyty w altance z menażerią.

- Oczyszczę... Ela, ty się nie cieszysz z kotka?

- Ależ bardzo, kochanie... Cóż to za minka zrozpaczona?

- Bo ja ci chciałam zrobić przyjemność.

- Zrobiłaś, siostrzyczko, wielką, ale oczyść się...

Ita posłusznie wykonała rozkaz i z wielką gracją wsiadła do samochodu.

- Elu, czy wyglądam jak dobrze wychowana panna?

- Jak dobrze wychowany anioł - pospieszył wyrazić swoje zdanie Janusz.

- Ciekawy jestem miny pani Radomskiej. Tylko Ita, pamiętaj, trzymaj się i panuj nad sobą - strofował siostrę Antek.



Zjawienie się baronówny i Janusza przed kościołem wywarło niesłychany efekt, zwłaszcza że szła pod rękę z Antkiem, podczas gdy Itę z galanterią prowadził Janusz. Wszyscy czworo zajęli ławkę barona, co było powodem tysięcznych szeptów. Obserwująca publiczność z ulgą przywitała koniec nabożeństwa i, zbiwszy się w grupy i grupki, oczekiwała na wyjście Ziemskich i Kruszyńskich z kościoła. Ci zaś pragnęli się pomodlić. Nawet Janusz pozostał dla towarzystwa. Najbardziej szczerze za szczęście dziękowała Ela. Jej gorące tkliwe serce znało tylko zawody. Wreszcie znalazł się ktoś, kto zapragnął czerpać z niego skarby miłości, komu ona, brzydka Ela, jest droga...

Pogasły światła i wyszli wreszcie z opustoszałego kościoła.

Na ich widok poczęły się ukapeluszowane głowy chwiać, a sylwetki wyginały się. Wirowały gorączkowe szepty i półgłośnie uwagi... Mama Radomska miała wypieki i spieszyła do powozu. Nie zdążyła, gdyż już cała czwórka stanęła przed nią... Panny córki czuły się bardzo nieswojo. Ita zaś dygnęła zgrabnie przed mamą:

- Przepraszam panią bardzo, że byłam ostatnim razem nie bardzo grzeczna, ale naprawdę nie wiedziałam, co mówię. Zdawało mi się, że córki pani nie chciały ze mną rozmawiać i to wprowadziło mnie w złość...

Podczas przemowy Ela, Antek i Janusz witali się grzecznie z panienkami. Pani zaś teraz wyglądała nad wyraz nieszczęśliwie...

- Moje dziecko... czasem rzeczywiście... tak... właśnie, można się omylić... W istocie nie mam ci nic do zarzucenia - wymamrotała i

przygniotła Itę do pulchnego biustu, co widząc siostry zamieniły między sobą radosne uśmiechy. One po kolei również poczęły ścisnąć Itę.

- Niechże państwo raczą teraz wstąpić do nas na momencik... Będę bardzo rada... - prosiła Radomska.

Ela spojrzała na Antka i skinęła nieznacznie głową. Po czym po wymianie niezliczonych uprzejmości mama wsiadła do samochodu, a za panienkami w powozie jechała Ita i Janusz.

Cała ta scena zrobiła wrażenie ogromne... Szczególnie zdumiewały się panie, które wiedziały o stosunku Radomskiej do Ity, bowiem pani Tosia nie omieszkała powiadomić znajomych o nietakcie i winach Kruszyńskiej. Więc teraz taka przyjaźń stawała się zdumiewająca.

Porucznik Stach uśmiechnął się z zadowoleniem, widząc miny zgromadzonej elity towarzystwa. Nie miał sposobności rozmawiać z przyjaciółmi, gdyż stał z żołnierzami, ukłonił się tylko odjeżdżającym z daleka. Ciekawie słuchał szeptów, by powtórzyć je potem zainteresowanym.

A mama Radomska pławiła się w szczęściu podczas poufnej rozmowy z baronówną, która krótko i węzłowato wytłumaczyła pulchnej towarzysze intrygę Janeczki. Skutek okazał się nadzwyczajny. Mama bowiem po przybyciu na miejsce schwyciła Itę i całowała ją gorliwie.

- Bardzo się cieszę, że moje córki mają tak miłe grono znajomych - mówiła.

Antek nie mógł ukryć dyskretnego uśmiešku, Janusz zaś mrugał na Elę... Tylko Ita była szczerze uradowana i nie kryła w sercu ani źdźbła urazy do „fałszywej baby”.

Panny Janeczki w kościele nie było, ale dowiedziała się od matki wszystkiego całkiem przypadkowo. Pani Rosowska wybierała się właśnie z wizytą do serdecznej przyjaciółki, gdy córka podniosła oczy znad książki.

- Nie rozumiem, w jakim celu mamusia utrzymuje stosunki z tą doktorową, z taką ordynarną plotkarką?

- Ależ Janeczko! Pani Helena jest nadzwyczaj miłą osobką. Wprawdzie przyłgnęła do niej nazwa „żywy kurier”, ale co ma robić biedactwo... Stary, nudny mąż, cały dzień samotna, a zresztą można się u niej prawdy dowiedzieć... Ciekawam, co ona powie o tej nagłej przyjaźni Radomskich z Ziemskimi...

- Jak to? Co się stało?

- Wyobraź sobie, dzisiaj przed kościół zajechał samochód Ziemskich. Wsiadła z niego Ela... Popatrz! Ona przecież nigdy w kościele nie bywała... Za nią Janusz i Kruszyński Antek z tą małą. Antek prowadził baronównę pod rękę. Podobno są zaręczeni, bo inaczej nie szliby pod rękę. Janusz szedł z tą małą... Ale to jeszcze nic. Po nabożeństwie podeszli do Radomskich i trzeba ci było widzieć, jakie serdeczne nastąpiło powitanie... Radomska potem wsiadła do samochodu, a Kruszyńska i baron do jej powozu... Pojechali do nich... No, powiedz, co się to dzieje? Także dobrane towarzystwo... Baronówna i te głupie Radomskie.

Ale Janeczka nie mogła nic powiedzieć... Patrzyła na matkę okrągłymi, jasnymi oczami i dusiła się po prostu... Wrażenie było okropne. Cały gmach misternej intrygi runął... Jak ona, Janeczka, będzie wyglądać? Co zrobić? Jeżeli, jeżeli się wszystko wykryło?

Chwilę jeszcze siedziała z opuszczonymi rękami i wreszcie rzuciła się na kozetkę.

- Mamo! Chora jestem, niedobrze mi... - i dostała spazmów.

W całym domu zapanował niesłychany zamęt. Pani Rosowska biegła w kapeluszu... Pokojówki potraçały jedna drugą w pośpiechu, nie wiedząc, czego szukać, a Janeczka, przeniesiona do łóżka, robiła minę męczennicy i, trzymając się za głowę, jęczała bardzo głośno.

Uspokoiła się dopiero wieczorem i wykombinowała plan ratunkowy. Wyłudzi pieniądze od ojca i wyjedzie za granicę. Tam na pewno znajdzie jakiegoś milionera. Ach! Gdy przyjedzie jako wielka dama tutaj, potrafi się zemścić.

- Mamo... mnie jakoś to powietrze i warunki tutejsze nie służą... Jestem coraz więcej zdenerwowana. Nie mam towarzystwa. Ja muszę wyjechać.

- Ależ, córuchno, jeśli od tego zależy twoje zdrowie, wyjedziemy zaraz...

- Ja nic mamie nie mówiłam, ale od dawna źle się czuję... Niech mama to powie tatusiowi.

- Dobrze, najdroższa... Wyjedziemy do Włoch, rozerwiesz się, biedactwo. Pogadam z ojcem.

Skutek energicznej przemowy pani Rosowskiej był

nadzwyczajny. Ojciec zgodził się od razu, ale postawił warunek, że panie mają jechać do uzdrowiska krajowego.

- Moje drogie - mówił z przekonaniem. - Nie uważam za stosowne, by żony i córki polskich obywateli zostawiały pieniądze Włochom lub Francuzom. Mamy tyle pięknych miejscowości, że naprawdę można wybierać. Wybierzcie się do Zakopanego choćby.

Janeczka kręciła trochę nosem, ale nie było rady. Ojciec postanowień swych nie zmieniał nigdy.

Zaczął się więc znowu gwałt i rwetes. Janeczka sprowadziła sobie krawcową, z którą całe godziny spędzały nad żurnalami... Potem jeździły do Lwowa... i wracały obładowane pakami i paczuszkami. Janeczka postanowiła w Zakopanem zrobić furorę. Sprawianiu gałganów nie było więc końca.

Pewnego dnia wracała do domu w świetnym humorze, rada ze wspaniałego sportowego kostiumu, który kazała sobie aż z Warszawy sprowadzić. Zadyszana wpadła w ostatnim momencie do wagonu drugiej klasy... Pociąg ruszył. Janeczka rozpięła futro i rozejrzała się wokoło... Nagle z przeciwległego końca przedziału wychyliły się w jej stronę cztery głowy w uprzejmym ukłonie. Janeczka zdrętwiała, ale przez moment miała wrażenie, że oblewa ją strumień gorącej wody. Wreszcie odkloniła się majestatycznie.

Sytuacja była nie do pozazdroszczenia... Janeczka skubała zawzięcie futro i zdawała sobie sprawę z tego, że minę ma niebiańsko głupią.

Ela podeszła do niej i, wyciągając rękę, rzekła z uśmiechem:

- I pani wraca ze Lwowa? Może pani usiądzie bliżej nas, tam jest więcej miejsca, niepodobna przecież stać całą drogę.

Nie było rady. Przepchnęła się za Ela między potężnymi brzuchami. Musiała witać grzecznie Itę, Antka i Janusza. Musiała słuchać ich wesołej paplaniny. Musiała układać wargi do uśmiechu...

- Czy pani też z koncertu? - spytał Janusz.

- Nie, robiłam sprawunki! Jadę za granicę...

- A gdzie? Wolno wiedzieć?

- Waham się jeszcze... albo do Włoch, albo do Szwajcarii, ale pewno do Szwajcarii...

- Ach, jaka pani szczęśliwa - krzyknęła Ita. - Ja bym też chciała tam pojechać...

- Moja żoneczka niech będzie grzeczna, to pojedziemy nawet do Ameryki - odezwał się Janusz z powagą. - Widzisz pani... Ożeni się człowiek z taką sikorką, to potem weźmie pod pantofel i rządzi.

Ela i Antek patrzyli z zajęciem w okna, chcąc ukryć uśmiech. Ita chichotała, a Janeczka połykała spieszenie potężną porcję gorzkiego zdumienia.

Rozmowa dalej szła nieszczególnie. Rwała się, utykała... Janusz ciągle tylko dokazywał i drażnił się z Itą. Nazywał ją najdroższym żoniątkiem i całował ukradkiem rączki.

Janeczka siedziała jak na rozpalonych węglach. W Stryju pożegnała się i wysiadła, tłumacząc, że tu czekają konie, ale Antek widział, że weszła do innego wagonu.

- No... miała za swoje - sapnął zadowolony Janusz. - Morowy

byłem, co?

- Gałgan jesteś! Tak zgnębić swój były ideał.

- Przepraszam cię, Elżbieto panno... Moim ideałem stale jest panna Ita.

- Ale pan za to wcale nie jest moim...

- Żono, cicho!

- Mężu... nie słucham nikogo i ciebie też nie... Tylko Elusi.

- ...i pana Witolda. Ita zaczerwieniła się i umilkła.

Wszyscy czworo bawili się znakomicie, a Janeczka, ledwo wstąpiła na próg mieszkania, krzyknęła:

- Wie mama co? Jakie to chamstwo! Janusz ożenił się z Kruszyńską i nie zawiadomili nawet o ślubie.

- Nie może być!!!

- No, jak ja mówię, to prawda...

I całą noc przewracała się biedna Janeczka na łóżku. Upokorzona była strasznie.

## ROZDZIAŁ IX

Witold stał w niedużym pokoiku rodziców przed skończonym obrazem. Staruszkowie patrzyli przez okulary z nabożnym zachwytem...

- No, mateczko... Tatusiu... Ładnie?

- Ślicznie, synku. Tylko..., żeby ona choć w cokolwiek była ubrana.

Uśmiech padł ciepłym blaskiem na skupioną twarz młodzieńca.

- Zaręczam mateczce, że obraz miałby wtedy mniejszą wartość...

Staruszkowie westchnęli i patrzyli znów na obraz zatytułowany „Noc księżycowa”.

Na brzegu rzeki, której fale przesycone były drżącą poświatą księżycowego blasku, stała naga dziewczyna, lekko w tył przegięta, zwrócona do widzów profilem. Głowę z oczyma zamkniętymi poddawała pieszczocie światła... Ręce, wyciągnięte w górę miękkim ruchem, zastygły w kryształowosrebrnym pyle jak dwa senne nenufary.

- Widzisz, mateczko, jeśli ten obraz zyska uznanie krytyki, spojrzę jasno w przeszłość. Będę wiedział, że mam talent. Do tej pory w moich obrazach były barwy i kształty. Tu jest coś więcej... To dusza...

Staruszkowie milczeli. Wreszcie matka odezwała się cicho:

- A tego drugiego nie dasz? Bo jeśli chodzi o duszę, właśnie tam ją widzę.

Odsłonił drugi, mniejszy obraz. Tytuł brzmiał „Mateczka”. Na



stole siedziała Ita z miseczką w ręku, trzymając na kolanach czworonożnych wychowañców.

Drobna twarzyczka czarowała tkliwym, dziecinnym wyrazem. Každy włos, každy załamek sukienki był oddany wiernie. Obraz zdradzał głębokie uczucie, jakie żywił młody malarz do tej „mateczki”.

Staruszkowie przypatrywali się uśmiechnięci.

- Bardzo, bardzo miłe dziecko - zdecydowali wreszcie.

A Witold szeptał w duchu:

- Czemu nie piszesz do mnie, maleńka? Kto znów zabiera mi twą przyjaźń i tę parę chwil, jakie miałaś dla mnie poświęcić?

Obrazy zostały na wystawę przyjęte. A najważniejsze, że od razu znalazły nabywców, którzy zapłacili sumę, jakiej Witold w życiu nie miał. Krytyka pisała: „Młody artysta ma niewątpliwie przyszłość przed sobą... Do widza przemawia zdrowy, czysty talent”.

Za oknami kruszelnickiego dworku szalała śnieżna zawierucha. Ita stała w swym różowym pokoiku na wpół ubrana, z jabłkiem w ręku... Wydało się jej, że wskroś wichur doleciał znajomy głos. Chwilę stała nieruchomo, a potem, wciągnąwszy nocną koszulkę, skoczyła do łóżka z takim impetem, że aż jęknęły sprężyny. Kończąc jabłko, uczyła się słówek francuskich.

Nagle postyszała najwyraźniej znane, drogie głosy Antka i Witolda.

Ukryła twarz w poduszki i przeleżała tak z godzinę, a potem, choć to była blisko północ, narzuciła na koszulkę wielki pasowy

ciepły szal i pobiegła na górę, stąpając koniuszkami palców.

Zapukała. Otworzyły się drzwi i stanęła na wprost swego belfra.

Patrzyli na siebie milcząc. Oczy ich za to mówiły całe poematy tęsknoty i miłości. Dziewczyna miała wrażenie, że nie może odetchnąć. Nie dlatego, żeby jej zabrakło powietrza, ale wydało się jej, że każdy oddech rozsadza jej piersi.

Ogarnęło ją jakieś gorące, oszałamiające uczucie. Buńczuczna dziecinna twarzyczka to pąsowiała, to bladła nagle... Szeptwała gorączkowo:

- Słyszałam już przed godziną, że pan przyjechał... Nie mogłam wytrzymać. Niech się pan nie gniewa, że przyszłam... - Złożyła ręce. - Ja już nie jestem dzika Ita. Przyszłam panu powiedzieć, że... że... zrozumiałam. Niech pan nie każe mi już czekać. Serce moje mówi samo... Kocham pana... kocham. W duszy mojej zakwitły lipy... Niech pan wierzy!

Umilkła i stała ze spuszczoną głową. Jak winowajczyni czekała wyroku. Ale Witold nie miał już nic do powiedzenia... Zarzucił sobie te różowozłote nagie ręce na szyję i przytulił dziewczynę do piersi tak mocno, jak mocna była jego miłość i tęsknota.

Za oknami szalała śnieżna zawierucha... W małym, jasnym pokoiku kwitły lipy i najcudowniejsze szkarłatne róże pocałunków.

- Teraz moja narzeczona pójdzie grzecznie spać, a jutro powiem tatusiowi, że Ita jest moja, moja...

- Tak! A niedługo wcale panu nie powiem dobranoc, nie będzie potrzeba, no nie? Będę pana żoną, Eleonorą Ritą...

Jeszcze jeden gorący pocałunek i wyszła z pokoju jak myszka. Nagle wróciła ze schodów i przytuliwszy się mocno do Witolda, szeptała:

- Słuchaj! Mnie nie trzeba będzie bić z miłości. Iwan już Kasie tłucze. Ona mówi, że to dlatego, że okropnie kocha, ale ja wierzę panu tak, na słowo... bez bicia.

- Maleństwo moje! Co za głupstwa! Chybaby mi ręka uschła.

- E, przed ślubem to każdy dobry... No, ale pan jest inny niż wszyscy... Dobranoc!

I zjechała na dół po poręczy.

Nazajutrz Witold po długiej rozmowie z panem Kruszyńskim zapukał do pokoju Ity.

Siedziała przy oknie, a on klęknął u jej stóp.

- Malutka, w czerwcu będziesz panią Witoldową Leską, a teraz jedziemy do Eli.

Ela przyjęła wiadomość tak radośnie, że rozplakała się ku wielkiej rozpaczy Antka.

- Panno Elu... To i nasz ślub w czerwcu, dobrze?

- Dobrze.

- Elka! - krzyczał Janusz. - Wymagam, żądam uczyty zaręczynowej w Sylwestra! Wszyscy będziemy tutaj - hip, hip, hura! Chcemy tańczyć.

- Ale tymczasem odbędzie się ta ceremonia u nas - oświadczył Antek.

A Ita, oparłszy główkę na ramieniu Witolda, coś mu zawzięcie

szeptala... Witold kiwał głową i uśmiechał się radośnie.

Na Sylwestra całe grono „wtajemniczonych” składało dwóm parom życzenia, a Ita siedziała przytulona do matki Witolda, która na gorące prośby przyszłej synowej miała zostać w Kruszelnicy do ślubu...

- Witold! W Zakopanem szykują wystawę najmłodszych malarzy - mówił Karol. - Masz już markę. Poślij parę obrazów. Ręczę, że staniesz się modny.

Ita podskoczyła radośnie, popierając Karola:

- Tak, tak... Ja chcę koniecznie. Pojedziemy z Elusią i z panią. Dobrze...?

Projekt znalazł zwolenników, a Witold nie myślał się opierać.

Pod koniec stycznia całe towarzystwo znalazło się w Zakopanem na otwarciu wystawy. Witold był w siódmym niebie. Jak przepowiedział Karol, młody twórca stał się modny... Oglądano jego obrazy, a właściwie więcej nawet malarza, szczególnie panie.

I oczywiście Janeczka nie uniknęła przykrości spotkania się z młodymi... Było to na raucie artystów. W części koncertowej pani Rosowska z córką siedziały w pierwszych miejscach. W antrakcie Janeczka usłyszała za sobą rozmowę.

- Kto to jest ta panienka obok Leskiego? Śliczna, oryginalna buzia...

- No, przecież to jego narzeczona.

- Bójcie się Boga... taka młodziutka...

- Ale śliczna para... Janeczka, ciekawa ujrzeć narzeczoną

Witolda, odwróciła głowę i, przyłożywszy lornetkę, szukała między zebranymi niewdzięcznego młodzieńca. Nagle ręka jej poczęła drżeć... Opuściła lornetkę i siedziała z ceglastymi wypiekami, oddychając ciężko...

Obok Witolda siedziały Ita i Ela! Dalej siwa matrona, Antek, Janusz i Irma.

- Panno Ito, chce pani zobaczyć osoby bawiące teraz w Szwajcarii? - spytał Janusz.

- Ach, tak! Janusz wskazał pannę Rosowską i ciągnął dalej:

- Nie wytrzymam... Pójdę się przywitać, jak mi Bóg miły.

- Nie, niech pan nie będzie złośliwy. Świat jest taki cudny... i Zakopane. Nie trzeba brudzić tej białości złością i gniewem. Mój złoty!

Janusz usłuchał, ale los zrządził inaczej i u wyjścia spotkały się dwa obozy. Janeczka zbladła i udała, że nie spostrzega ukłonu. Irma za to zachichotała złośliwie.

Nazajutrz Janeczka wyjechała z Zakopanego. Witold został jeszcze, gdyż chciał sprzedać wszystkie obrazy, z wyjątkiem, naturalnie, portretu narzeczonej. Udało mu się to wkrótce. Wracił do Warszawy uradowany. Ita z jego matką zostały w Kruszelnicy.

Znów rozbiegło się młodzieńcze kółko, ale wszyscy niecierpliwie oczekiwali czerwca... Cieszyli się serdecznie szczęściem Ity i Eli... A obie panienki siadywały często u stóp siwej matrony i pod jej kierunkiem haftowały wyprawy. Gdy Ela odjeżdżała, stawały obie w oknie i machały chusteczkami, a potem Ita kładła swą lśniącą

ciemną główkę na kolanach staruszki i szeptała coś... Kiedy dostała list od narzeczonego, mówiła:

- Jakam ja szczęśliwa... Kocham cały świat, chcę, żeby wszyscy się uśmiechali. Wszystkim powinno być dobrze. Chciałabym jak najprędzej mieć synka. On też będzie wielkim malarzem. Ach, mateczko, prawda, jak to rozkosznie mieć swój dom i swoich? Myślę, że wasze serca to najśliczniejsze pałace z bajki, po co szukać innych. Ale możemy pojechać zobaczyć te obce cudowne krainy.

- Ty szczebiotko najmilsza. Ja już nie doczekam tego zwiedzania.

- No to będziemy w domu. Niech się mateczka uśmiechnie. U nas zawsze musi być jasno, ciepło i wesoło. Witold też nie będzie się przeze mnie smucił. Będę cierpliwa i wyrozumiała. A synka nazwiemy Januszkiem, to ładnie. - Nagle zmieniła temat. - Te góry były takie śliczne... Zupełnie jak kościół. Mateczce się nie przykrzy, kiedy ja gadam? Dawniej to rozmawiałam tak z drzewami i zwierzakami. Mateczka mnie kocha?

- Kocham, malutka, bardzo...

- To ślicznie... Ja też. Tak mi dobrze, że mam kogo kochać...